№ 48. Warszawa, dnia 27 (15) Listopada 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POLITYKA.

Pytanie: co dalej?—zajmuje dziś niemal wyłącznie prasę europejską a nawet służy za tytuł wielu jej artykułom. Wystąpiło ono nietyle po mowie Salisburego lub Kalnokego, ile po wyjeździe gen. Kaulbarsa i konsulatów rosyjskich z Bułgaryi. Rzeczywiście, dopóki przedstawiciele Rosyi pozostawali na gruncie i porozumiewali się bezpośrednio z opornymi, można było tak lub inaczej wróżyć i mniemać, że taki stan rzeczy potrwa dłużej. Ale dziś niepewność obcina wszelkim domysłom skrzydła i każdy pyta jedynie: co będzie dalej? — a nikt nie daje odpowiedzi stanowczej.

Naturalnie pytanie to stawiają sobie również dzienniki rosyjskie. *Petersb. Wiedomosti* przewidują obrachunek Rosyi z właściwymi jej wrogami, którzy się ukryli po za rzeszą bulgarską. „Całoroczny ciąg przesilenia bułgarskiego — mówią one — przekonywa, że zarówno w osobie ks. Battenberga, jak w osobach jego tworów, Rosyi przeciwstawiają się nienasycone knowania angielskie, systematyczna nieprzyjaźń Austryi i zręczna gra Niemiec, które chcą nas osłabić, opłątać na Wschodzie kłopotami, niekosztującymi ich ani jednego żołnierza, ani jednej marki. W takich warunkach polityka nasza ma obecnie przed sobą dwie drogi: albo Rosya może przyjąć wskazane jej pole działania, tj. wprost zająć się odzyskaniem wydartego jej na półwyspie Bałkańskim stanowiska, posłać do Bułgaryi silny korpus operacyjny i ująć mocno kraj, zgnębiony anarchią, aż do czasu przywrócenia tam porządku zgodnego z jej widokami; albo też zrzec się teatru wojny wybranego przez przeciwników, pozostawiając Bułgaryę własnemu jej losowi, i zwrócić całą uwagę na stosunki europejskie, wymagające szybkiego i stanowczego podniesienia naszej powagi politycznej i wojennej, zaniechać układów z Sofią, przenieść je do Wiednia i tam wypowiedzieć to uroczyste słowo, które dlatego miało w Bułgaryi skutek ograniczony, że było skierowane do aktorów, a nie do reżyserów sztuki politycznej."

Nowoje Wremia, które po za tymi reżyserami wskazuje dyrektora i jego głównie pociąga do odpowiedzialności, woła: „Jeżeliby kiedykolwiek naród rosyjski mógł radować się z wojny, to właśnie tylko pod hasłem wojny z niemcami, a jeżeliby kiedykolwiek miał wytężyć wszystkie swoje siły, przelać wszystką swoją krew, to tylko w chwili — walki o niezależność od niemca."

Wojna — to straszydło chowane i wystawiane zwykle, kiedy prasa gubi klucz, odmykający bodaj główne wrota polityki. Gdy dzienniki poczują zaostrzenie się stosunków międzypaństwowych a nie znają przebiegu stań, pokrywają swoją niewiadomość groźbami, które potem łatwo unieważnić jakimkolwiek wybiegiem. Stąd to obecnie tak często przewija się pod piórami wróżbitów gazeciarskich ów krwawy wyraz *wojna*, który tyle razy już czerwienił się i płowiał. Czytelnik nie ma litości dla publicystów, zawsze i w każdym wypadku domaga się od nich objaśnień stanowczych i woli najfantastyczniejsze niż wątpliwe. Prasa też nie szczędzi przypuszczeń, a nawet oznaczonych zapowiedzi, ale między wierszami jej proroctw łatwo dostrzedz wyraźną niepewność — co dalej będzie.

Bez ryzyka wnioskować można, że spór o Bułgaryę przejdzie teraz w sferę dyplomatyczną, w której prawdopodobnie dojdzie do końca. Nadzieję tę żywią również gazety rosyjskie, które ani na chwilę nie wątpią, że Rosya wpływ swój przeważny na półwyspie Bałkańskim znowu w dawnych lub rozszerzonych granicach odzyska. „Rosyjski kandydat do tronu bułgarskiego, ks. Mingrelii — piszą *Birż. Wiedomosti* — nie napotkał przeszkód ze strony żadnego mocarstwa europejskiego; obiór jego winien być dokonany przez zgromadzenie nowe, z nowych deputowanych złożone, przyczem nie będą mogły powtórzyć się zjawiska, które towarzyszyły wyborom poprzednim i wogóle teroryzm dzisiejszy ustać musi, a przywrócenie porządku w Bułgaryi może i powinno odbyć się pod wspólnym naciskiem wszystkich mocarstw na obecnych przywłaszczycieli władzy. Jeżeli Europa nie życzyła sobie, ażeby to wszystko dopełnionem było pojedynczemi usiłowaniami pełnomocnika rosyjskiego, Rosya nie nie będzie miała przeciwko temu, ażeby w wykonaniu *jej* programu uczestniczyła cała Europa. Nie o to wszakże chodzi; najważniejszą tu jest rzeczą, że przy mocarstwie północnem musi zostać i zostanie przeważne znaczenie w Bułgaryi, a warunki, przy których kandydat rosyjski wstąpi na tron, przedstawią zapewne tę właściwość, że powtórzenie się sprawek Aleksandra Battenberga będzie niemożliwem."

Głos *Birż. Wied.* w chórze prasy rosyjskiej brzmi łagodniej, niż innych organów, nadających jej ton. Wszystkie jednak dzienniki, krzykliwe i ciche, daremnie pasują się z pytaniem: co dalej?

„Położenie jest trudnem; jeżeli interesy nasze zostaną obrażone, będziemy umieli należycie je obronić, *ale* dotychczas nie są one jeszcze dotknięte i mamy nadzieję, że pokój da się utrzymać."

Oto jest główny, niemal jedyny motyw wszystkich przemówień politycznych ostatniego czasu, przemówień, po których nie-

wtajemniczony ogół tak jest mądry, jak był przedtem. Tak dowodził Tisza, tak dowodził Smolka, Salisbury, a wreszcie ostatni Kalnoky, austryacki minister spraw zewnętrznych. Tylko coraz zabawniejszą jest ciekawość naiwnych dzieci, domagających się usilnie od piastunów powtórzenia bajki „o czapli na wysokich nogach.“ Sto razy usłyszały ją one w jednakiem brzmieniu i po raz setny pierwszy wołają: „powiedzieć jeszcze.“ Można serdecznie uśmiać się, patrząc, jak w parlamentach najciekawsi wnoszą interpelacye, jak minister opóźnia odpowiedź i zastrzega przez podwładne gazety, ażeby go nie badano zbyt natrętnie, gdyż robota dyplomatyczna wymaga tajemnicy, jak wreszcie staje przed posłami narodu i mówi: „położenie jest trudnem, jeżeli interesy nasze“—itd.— jak wyżej.

Przyznać trzeba, że w objaśnieniach uwydatniają się pewne różnice, zależne są one jednak nietyle od natury obecnego stanu sprawy bułgarskiej, ile od nastroju słuchaczów i względów ubocznych.

Jak zauważyliśmy w numerach poprzednich — Austrya chce zapuścić w naród głębiej pompę podatkową na cele wojskowe, trudno więc, ażeby nie potrząsała strachem. I ten wszakże strach zmieścił się w banalną formułkę, z pozoru wyrażającą wiele, a w rzeczywistości — nic.

Bo rozpatrzmy główną osnowę wywodów hr. Kalnokiego.

Według niego należy odgraniczyć interes bułgarów od interesu Europy a więc i Austryi. Pierwszy ma swobodę dla rozwoju w zakresie położenia wytworzonego wspólną zgodą mocarstw, drugi zawiera się w utrzymaniu traktatu berlińskiego. Tradycya polityki Austro-Węgier nie jest zaczepną, nie pozwala im więc występować groźnie i w tym sporze, dopóki istnieją środki i nadzieje rozstrzygnięcia polubownego. Tradycya ta nakazuje, ażeby organizmy państwowe, powołane do życia na półwyspie Bałkańskim przez traktat berliński, istniały i rozwijały się samodzielnie. W czasie zaś, w którym kilka dni wystarcza do uruchomienia olbrzymich armij, rządy nie powinny zapominać o odpowiedzialności za sprowadzenie takiej katastrofy. Co do kwestyi rumelijskiej, minister mniema, że Austrya nie ma żadnego powodu opierać się zjednoczeniu Bułgaryi. Traktat berliński przepołowił ją i zatrzymał pod dawnem zwierznictwem, ażeby Turcyi umożliwić zapobieganie gwałtownym przewrotom na półwyspie; skoro ona jednakże nie skorzystała ze swych praw i nie stanęła w ich obronie, można tej niedbałości żałować, ale usunąć jej skutków niepodobna. „Rząd cesarsko-królewski będzie dążył do tego, aby słuszne życzenia bułgarów zostały uwzględnione: usuwał więc z drogi wszystko, coby miejscowy charakter przesilenia zmieniło na europejski.“ Ostatecznie hr. Kalnoky wierzy, iż „pokojowe załatwienie obecnych trudności, bez naruszenia interesów Europy i Austro-Węgier, jest nietylko możliwem, ale nawet prawdopodobnem,“ zwłaszcza przy „wybornych“ stosunkach monarchii ze wszystkiemi państwami.

Takie oświadczenie złożył sternik zagranicznej polityki austryackiej.

Prasa, która niewiele potrzebuje materyału dla ulepienia swych domysłów i przypuszczeń, obaw i nadziei, wydobyła i z tej mowy całe potoki wniosków „nowych.“ Ale co w niej znajduje ogół, który sądzi rzecz z gruba i szuka odpowiedzi prostych, stanowczych? Nic, czegoby już przedtem nie słyszał z ust Tiszy lub Salisburego. Może on więc sobie dalej pukać w palce lub kłaść kabałę, jak czynił dotąd. Wiedza bowiem jego o jutrze nie wzbogaciła się najmniejszym promieniem. Jest to prawdziwa *camera obscura* — chociaż nie pierwsza i nie ostatnia.

KAZANIE PO NIEWCZASIE.

O ile pożyteczną i szlachetną bywa surowa krytyka działań ludzi, stojących na wydatnem stanowisku, o tyle niesmaczną i bezcelową, gdy chłoszcze ubezwładnionych. W pierwszym razie dowodzi odwagi i istotnej dbałości o dobro ogólne, w drugim — łatwego bohaterstwa w deptaniu powalonych. *Kraj*, pismo polskie w Petersburgu, wychodzi od lat pięciu, przez tyleż lat dr Zyblikiewicz był marszałkiem sejmu galicyjskiego i ani razu nie zasłużył na naganę tego organu, choć — jak widać z rachunku sumienia winowajcy w nr. 45 — od początku i wiele grzeszył, a „człowiek przez wszystkie (!) obozy szanowany,“ który mu ten rachunek spisał i z Wiednia nadesłał, nie teraz chyba trzeźwo przejrzał. Dlaczegóż dopiero *po* dymisyi z urzędu ogłoszono Zyblikiewiczowi ów wyrok, odsądzający go od wszelkich zasług, nawet kancelaryjnych? Dlaczegóż „ręka“ tajemniczego i „przez wszystkie obozy szanowanego człowieka“ nie ujęła dawniej za pióro, za pośrednictwem *Kraju* nie pozwala szkodliwego brutala przed trybunał opinii publicznej i tym sposobem nie zapobiegła jego ujemnej działalności oraz ślepej wierze ogółu w jego wielkość?

Bo czego ten niespokojny Marchołt nie spartolił i na czem wyrósł.

Nominacyę na marszalka zawdzięczał umiejętnemu przyjęciu monarchy w Krakowie i niedołęztwu ówczesnego namiestnika Galicyi; syn mieszczanina wszędzie żywiołowi miejskiemu okazywał nieprzychylność; łżył dziennikarstwo, wojował z zakładami leczniczymi, okroił wydatki na biblioteki szkolne, przybory naukowe i konferencye nauczycielskie, marnował pieniądze na wspaniałe budowle, prywatne swoje mieszkanie ozdobił *Unią* Matejki, przeznaczoną do sali sejmowej; rozwijał dziwaczny, z przestarzałych zapatrywań złatany program dźwignięcia sił produkcyjnych kraju; założył bank z niedostatecznym kapitałem, z kosztowną organizacyą, lichym dyrektorem i ryzykownemi przedsięwzięciami; nie uprościł nawet biurokratycznej manipulacyi wydziału, nie usunął nadmiaru urzędników itd. itd.

W tem czarnem pasmie była jedna nić pozornie jaśniejsza. Rady szkolne od lat kilku prowadziły tak niedbale rachunki, że nie mogły usprawiedliwić wydatkowania sum pobranych od powiatów. Skutkiem tego niektóre powiaty odmówiły dopłat do podatków. Gdy sprawa stanęła przed sejmem, namiestnictwo zajęło się zbadaniem rachunków, a czynność ta kosztowała je 6 do 7 tysięcy złr. rocznie.

---

1)

POWIEŚĆ.

OBŁAWA.

Obrazek poleski.

W uroczysku „krasny roh“ najczęściej lubiły niedźwiedzie obierać sobie legowiska zimowe. Byle pierwszy śnieg spadł z nieba szarego, stróże leśni nie zapuszczali się bardzo w głąb', z obawy zbudzenia zwierzęcia z letargu i ściągnięcia na się niełaski dziedzica. Każdy z nich powinien był tylko znać ostęp dobrze i wiedzieć, ilu tam niedźwiedzi spało.

W roku 188... śnieg upadł wcześnie i obficie, a w „krasnym rohu“ legła samica z dwojgiem młodych. Michał Zdor ze swoim towarzyszem wyścigali się wzajemnie w donoszeniu wieści łowczemu, a łowczy, rad ze spodziewanych względów — nadleśniczemu. Cała straż leśna była niezwykle poruszona. Topiono kule, czyszczono strzelby, a psiarz we dworze podwajał porcye obroku dla ogarów.

Pan wrócił z zagranicy i zapragnął rozrywki...

Spodziewano się więc wielkiej obławy z huczkami, czyli z naganką.

Nazajutrz miano zajść zwierza zdradziecko w kniei, a wieczorem dnia poprzedniego rozlegały się dzwonki pocztowe u sanek z gośćmi, śpieszącymi na polowanie.

Wieś Horoszków, owiniętą płaszczem boru posępnego, najechał orszak myśliwski i zatrzymał się przed chatą Michała Zdora, stróża leśnego. Świtało ledwie i brzask oblewał brzegi nieba nad puszczą, zbielałą od sadzi. Przez jednoszybowe okienka niskich chałup biło światło „łuczników,“ a po stodołach kmiecych rozlegały się odgłosy cepów. Młócono na doświtku przy blasku pełgającego smolaka. Z „osieci“ dymiło się i sanie, przygotowane do zwózki siana, zgrzytały po wydeptanym, śliskim śniegu, targane niecierpliwie przez konie drżące od mrozu. Zjechała wielka ciżba myśliwych niższego gatunku: łowczych, oficyalistów folwarcznych i strzelców ochotników, z zaścianków czynszowniczych. Psiarnia dworska i kuchnia zajęły całą chałupę Zdora, tak, iż dzieci jego, wystraszone, pochowały się za piec, nie śmiejąc szeptu wydać.

Rozlał się po wsi dźwięk dzwonków żałosny, zwiastując przybycie: dziedzica z żoną, gości i zarządcy dóbr z nadleśniczym. Przejeżdżali przez wieś, witani szczekaniem psów i przelotnemi wejrzeniami chłopek, ukazujących się w jednoszybowych okienkach — ze zmartwieniem na twarzy lub z dzieckiem u łona.

Ludzie nie chcieli roboty swej rzucić i iść na naganką do lasu. Przedstawiano im korzyść z obławy, ale machali na to ręką wzgardliwie. Co tam obława? Barcie i ule, powciągane na drzewa, chroniły „podkury“ przed łakomstwem niedźwiedzia. Zresztą od czegóż zasadzki nocne i czaty w bezpiecznem miejscu? W końcu odpowiadali:

— Niedźwiedź żyta nam nie wymłóci, a skórę z głowy pewno zedrze... Nie pójdziemy!.. Niech go tam kolki porwą!..

Zastraszeni mniej hardo stawili się setnikom i dziesiętnikom. Powoli więc milkł łoskot cepów po stodołach i sanie, przeznaczone do zwózki siana, zapełniały się „huczkami“ i ruszały do kniei. Najwięcej chłopów zniewoliło do posłuszeństwa przemówienie nadleśniczego. Zagrzany obecnością chlebodawcy, zaczął je od „chamów,“ a skończył pogróżką, że, gdy naganiać do ostępu nie pójdą, wzbroni im pastwisk i opału w lesie.

Więc z zatajoną w sercu nienawiścią, a chytrością w oczach i pokorą na twarzach, przedwcześnie zoranych, zgroma-

O zwrot tych kosztów rządowi upominało się ono u kraju, marszałek zaś oparł się temu, dowodząc, że potrzebę sprawdzenia rachunków wywołał niedozór starostów, przedstawicieli rządu. Spór ten trwał przez lat kilka, namiestnictwo przy poborze podatków strącało sobie sumy dla pokrycia swych pretensyj, aż wreszcie z pobudki dr-a Zyblikiewicza wydział krajowy wniósł skargę do trybunału administracyjnego. Gdy zastępca marszałka postawił wniosek cofnięcia skargi i zyskał uznanie wydziału krajowego — dr Zyblikiewicz podał się do dymisyi.

Ale pomijając niesłuszność tego roszczenia, bo — według korespondenta *Kraju*—nienależało „doprowadzać sporu między władzą krajową i autonomiczną do najdrażliwszego wyrazu" — owa pozornie jasna nić traci swój blask i przez to, że ją marszałek sztucznie przyczepił do swojej prośby o uwolnienie. „Najgłębszym" powodem tego kroku była „porażka miłości własnej," obrażonej chłodnem przyjęciem ze strony cesarza podczas jego pobytu na manewrach w Galicyi i nieotrzymaniem tytułu tajnego radcy.

Wyrazistości temu portretowi nie brak, chociaż zrobiony podług maski pośmiertnej. Zyblikiewicz tedy był bezmyślnym szaławiłą politycznym, niemającym pojęcia o swoich obowiązkach i potrzebach kraju, niegodnym swego stanowiska a próżnym aż do dzieciństwa.

Musielibyśmy zapisać duży tom, chcąc rozebrać i sprawdzić cały ten akt oskarżenia, w którym nic, literalnie nic dobrego nie przyznano człowiekowi, przez lat tyle używającemu powagi i szacunku i niemal gwałtem zatrzymywanemu, gdy odejść postanowił. Zapytamy jedynie, co robił sejm, kiedy marszałek broił? Więc na tem gronie przedstawicieli narodu nie ciąży żadna odpowiedzialność za uchwały, tylko ciąży na jednym człowieku? Ktoś nieznający stosunków, czytając korespondencyę *Kraju*, nie domyślałby się, że w niej mowa o prezesie Izby, lecz co najmniej o wielkorządcy kraju, działającego z władzą bardzo mało ograniczoną. Na barki jednostki włożono tyle przewinień, że nic nie zostało ani dla posłów, ani dla władz autonomicznych i krajowych. Wszyscy zlewają się w białe tło dla tej czarnej sylwetki.

Niestety, takie świadectwo służbowe piszemy zwykle ludziom wybitnym, uwolnionym od obowiązków publicznych. Dopóki dzierżą władzę, milczymy o ich błędach, gdy ją wypuszczą z ręki — wynagradzamy sobie to milczenie z procentem. Jeżeli nie umarł — grób nas rozbraja! — odprawiamy każdego bez „Bóg zapłać."

Jeżeli — jak ktoś powiedział — „szyderca bywa często prorokiem," to korespondent *Kraju* wkrótce przekonał się, że tylko pierwszą połową tego zdania się ozdobił. Przewiduje on wybór Adama Sapiehy, pseudo-demokraty, oraz porażkę stronnictwa stańczyków, z którymi ten „pan całą gębą" ma być „niczem niezwiązany." Tymczasem zamianowano marszałkiem Jana Tarnowskiego, prawowitego stańczyka, bardziej wylegitymowanego ze swej krwi politycznej, niż Zyblikiewicz, którego korespondent bez targu sprzedał partyi krakowskiej, zawcześnie skazanej już tylko na „nadskakiwanie młodemu delegatowi rządowemu" — hr. Borkowskiemu. Wróżba przeto nie udała się.

Nie udał się, zdaniem naszem, cały obrachunek działalności Zyblikiewicza, namiętny, przesadny i niczem niezdradzający człowieka „szanowanego przez wszystkie obozy." Takie słowa rzuca się w kłótni, ale nie wspokojnym i sprawiedliwym sądzie. Jest to co najmniej kazanie po niewczasie, jeżeli nie wylew gniewu.

H. A.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ubiegłe dni przyniosły obfite żniwo przemówień. Hr. Kalnoky, austryacki minister spraw zagranicznych, na obradach komisyi delegacyi w Budapeszcie, w mowie programowej, odróżnił w zajściach bułgarskich interesy czysto-miejscowe od tych, które są związane z europejskimi a więc i austryackimi. Do rzędu ostatnich zaliczył samodzielność Bułgaryi, poręczoną traktatem berlińskim. Stosunki Austryi do innych państw scharakteryzował—jako wyborne. Dla Niemiec wprawdzie nie jest obowiązkową obrona interesów specyalnie austryackich; zajmują się wszakże Bułgaryą o tyle, o ile z nią pokój na Wschodzie i w Europie się łączy. Z gabinetem rosyjskim nie ustały stosunki przyjazne. Mówca wielkie pokłada zaufanie w pokojowem usposobieniu Najjaśniejszego Cesarza rosyjskiego. Zgodność zapatrywań i identyczność interesów pozwalają mieć nadzieję, że Anglia znajdzie się po stronie Austryi na wypadek potrzeby utrzymania traktatu berlińskiego i prawnego stanu, który zeń wyniknął. Wszelkie też są powody przypuszczać, że Włochy odczuwają łączność wielu swoich interesów z austryackimi. Nadto na zapytanie dra Falka odpowiedział, że Rosya nie zamierza ani dłuższej ani krótszej okupacyi Bułgaryi. Z rozpraw, które się nad oświadczeniami hr. Kalnokego wywiązały, najwięcej obudziło zajęcia przemówienie hr. Andraszego. Twórca przymierza austro-niemieckiego sądzi, że dzieło jego ucierpiało skutkiem zamiany związku podwójnego na potrójny, przez dopuszczenie Rosyi, gdyż Prusy znajdowały się w drażliwem położeniu, ilekroć było potrzeba rozstrzygać pomiędzy sprzecznemi dążeniami dwóch państw pozostałych. Nadto zarzuca, że rząd austryacki nie określił wyraźnie, iż gotów jest bronić rozporządzeń traktatu berlińskiego, choćby miał się znaleźć bez sprzymierzeńców. Zdaniem Andraszego, położenie dzisiejsze nie stałoby się tak drażliwem, gdyby zamiary rządu austryackiego w tym względzie jasno były określone. Hr. Kalnoky wprawdzie na razie odmówił szerszych wyjaśnień nad te, które dał poprzednio; wszakże rozwój wypadków rychło przekonał, że austryackie ministeryum spraw zagranicznych usilnie pracuje w duchu zasady: *si vis pacem, para bellum.* Nagła depesza wezwała hr. Kalnokego do Wiednia. Jednodniowa nieobecność ministra spowodowała nawet zwłokę w pracach delegacyjnych. Po powrocie oznajmił na posiedzeniu połączonych delegacyj: austryckiej i węgierskiej, że przymierze Austryi z Anglią jest już faktem spełnionym; że współdziałanie Niemiec także niebawem się uwydatni. Wiedeński *Tagblatt*, który zdaje się być dobrze powiadomionym, objaśnia, że potrójne przymierze Niemiec, Austryi i Anglii przybrało już konkretną formę, że w akcie piśmiennym dokładnie wyłuszczone są lub wkrótce być mają ewentualności, mogące wkładać obowiązki wzajemne na strony kontraktujące.

Gdy wszyscy pokoju na dziś pragną, tedy należy spodziewać się, że nie będzie zakłócony i że owoc jeszcze nie dojrzał należycie, aby spadł bez potrząśnięcia nazbyt silnego. Przyjrzyjmy się, w jakim stanie on dziś się znajduje. Gen. Kaulbars zapowiedział ministrowi bułgarskiemu Naczewiczowi, że za pierwszym gwałtem, rosyjskiemu poddanemu wyrządzonym, opuści

---

dzili się przed chałupą leśnika. Stanęli, gwarząc i czekając, gdzie iść i co robić im rozkażą? Tymczasem, czyje oczy ciekawe, mogły spostrzegać ich ubiór niewybredny, prastary. Własnej roboty tkaniną byli od pięt do głowy odziani: siermięgi mieli na sobie z sukna „samodziału," czapki uchate przykrywały kudłate czupryny, a nogi obute były w „łapcie" łyczane, przytwierdzone do stopy i łydki rzemieniem lub „oborą." Jedni poopasywali swe siermięgi bure i kożuchy białe krajkami czerwonemi, inni zaś postroili się w szerokie „dziahy" czyli pasy skórzane, z kieszenią do hubki, krzesiwa, lulki, noża i tym podobnych rzeczy podręcznych.

Niektórym, jako strzelcom, rozdano broń, inni zaś, i tych było najwięcej, w lesie mieli znaleźć sobie oręż. Następnie wszystkim kazano iść do „krasnego rohu."

W tyle została wieś ze skrzypiącemi żórawiami i słupami sinego dymu, strzelającymi z kominów, oplatanych rokitą lub korą brzozową. Myśliwi zaś do kniei dążyli. Drogą, utorowaną saniami chłopów w czasie zwózki siana i drew, zapuszczali się cicho w głąb' boru. A bór stał cały w siwiźnie sadzi i szemrał zlekka. W miarę, jak słońce wspinało się wyżej na sklepienie nieba, na szczytach sosen topniała sadź, spadając zdradziecko za kołnierze jadącym. Powietrze było chłodne i jędrne, a z pod śniegu dobywała się słaba woń butwiejących szczątków roślinnych, bahunu i cząbrów.

Piękni byli—dziedzic ze swą żoną młodą. On miał na sobie modny strój myśliwski, ona modne i bogate futerko, a siedzieli oboje w wygodnych i eleganckich saniach. Za nimi jechali goście. Gdy mijali naganiaczów, niosących na plecach drągi i koły zaostrzone, ci usuwali się im kornie z wąskiej drogi w bok, grzęznąc w śniegu po pas.

Lecz otóż i „krasny roh."

W uroczysku tem las jest najgęstszy, prawie z samych sosen wysokopiennych złożony. Inne uroczyska topór wyrobniczy przerzedził mocno, tylko to jedno ocalało. Pośród tej gęstwy rozpostarło się z pół włóki polanki jałowej, zajętej w posiadanie cząbrów, wrzosów, nieśmiertelników i porostów różnokształtnych i różnobarwnych, śniących o lecie pod grubą warstwą śniegu. Choć na niej młoda sośnina bujnie się puściła, ale znać po śladach zagonów, że musiał ją ktoś uprawiać dawniej. Do polanki przytykała niewielka „biel," czyli trzęsawisko, wyściełane miękkiemi poduszkami mchów i zrzadka porosłe sośniną karłowatą, usychającą od spodnich gałęzi. Pomiędzy tą bielą a polanką leżała wywrócona olbrzymia sosna. Burza, szalejąca tutaj przed kilku laty, oderwała ją od łona ziemi, a ślady gwałtu zostawiła po sobie wielkie. Sosna, targnięta za czuprynę zieloną, padając, zabrała z sobą wszystkie swe korzenie, przeplatane warstwami piasku szarego. Z tego powstał spory dół, nad którym wisiała pochyło owa wyrwa. Tam właśnie niedźwiedzice obrały sobie legowisko, tam to one miały całą zimę łapy ssać — wedle słów leśników.

W milczeniu strzelcy zajmowali wyznaczone sobie stanowiska. Naganiaczy, uzbrojonych drągami lub kołami zaostrzonymi, rozstawiono najbliżej łohła, od bieli, skądby łatwiej zwierza mogli straszyć. Pan dziedzic z orszakiem stanął na przesmyku, wiodącym w gąszcz boru, u pnia dębu, strzaskanego burzą. Tak mu poradził Michał Zdor, znawca i gospodarz kniei. Ujadał się długo z towarzyszem swym o rejowództwo w czasie łowów; wymownie powoływał się przed dziedzicem na swe zęby, zjedzone w myśliwstwie, aż mu ten nareszcie pozwolił. Innych rozstawiono wedle starszeństwa lub życzliwości dla nich, wymiarkowawszy dobrze, kędy niedźwiedź zmykać będzie.

Obstąpiono knieję szerokiem kołem i czekano, rychło li naganka się rozpocznie,

Bulgaryę wraz ze wszystkimi rosyjskimi konsulami. W d. 24 października (s. s.) kawas konsulatu rosyjskiego został napadnięty na ulicy przez żołnierzy i ludzi z kijami i zbity do tego stopnia, że stracił przytomność. Dowiedziawszy się, że napad nastąpił z rozkazu miejscowej władzy wojskowej, zażądał gen. Kaulbars od ministra Naczewicza usunięcia dowódcy brygady miejscowej, tudzież komendanta miasta, przykładnego ukarania ludzi w napadzie uczestniczących, a w końcu uczczenia chorągwi rosyjskiej wojskowym zwyczajem. Uprzedził Naczewicza, że w razie nieuzyskania wyżej wskazanego zadośćuczynienia przed wieczorem 17 b. m., opuści Bułgaryę. Ponieważ zaś w terminie rzeczonym nietylko zadośćuczynienie danem nie było, lecz żadnej zgoła nie nadesłano odpowiedzi, wyjechał więc gen. Kaulbars z Sofii d. 19 rano. Wszyscy konsulowie rosyjscy dostali także rozkaz wyjazdu. Opieka nad poddanymi rosyjskimi powierzoną została konsulowi francuskiemu, nie zaś niemieckiemu.

Sprawy bułgarskie tak czy owak muszą być uporządkowane. Uporządkowanie to nie odbędzie się ani wbrew Rosyi, ani z pominięciem jej zdania. Czy wybór padnie, jak przewidują niektórzy, na Mikołaja Dawidowicza Dadiana, medyatyzowanego księcia Mingrelii, czy na innego kandydata Rosyi, wpływ tego mocarstwa na sprawy bułgarskie będzie zapewniony. Zawsze czas był sprzymierzeńcem Rosyi w polityce zagranicznej. Dziś również nie znajduje się ona w potrzebie stawiania za wiele dla natychmiastowego rozstrzygnięcia kwestyi, gdy zwłoka może jej tylko przynieść korzyści.

Podniesienie się kursu rubla na giełdzie berlińskiej świadczy, że świat finansowy nie widzi w odwołaniu gen. Kaulbarsa zapowiedzi bliskiej wojny.

W d. 25 b. m. otwarto parlament niemiecki.

STRONNICTWA GALICYJSKO-RUSKIE.

Lwów, 24 listopada 1886.

Prasa zagraniczna ruch ruski w Galicyi przedstawia jako coś jednolitego, tak co do związku inteligencyi z ludem, jako też co do zgodnego działania jej na korzyść ludu. Istotnie, sami galicyjscy rusini pojmowali pracę swoją z tego stanowiska. Ucichły pośród inteligencyi waśnie i wzajemne oskarżenia; głównym celem było dźwignięcie ludu pod względem moralnym i materyalnym. W tym punkcie spotkali się ludzie nieraz wręcz przeciwnych przekonań, a wynik wspólnej pracy okazał się względnie ogromny: w ciągu lat kilku powstało w Galicyi i na Bukowinie przeszło 600 ludowych czytelni i więcej niż drugich tyle kas pożyczkowych gminnych, szpichlerzów, chórów włościańskich, gminnych sklepików chrześciańskich. Dla dostarczenia ostatnim dobrego a stosunkowo taniego towaru, któryby wyparł po wsiach lichy a drogi żydowski, założono przed paru laty „Narodną torhowlę“ — udziałowe towarzystwo kupieckie, które od razu doznało u nas niezwykłego powodzenia.

Pod błogim wpływem zgody śród inteligencyi zaczął się dźwigać z upadku i upośledzenia ruski lud, garnąć się do czytelni, które rozwijały się coraz lepiej.

Trwało to jednak nie długo. W ostatnich czasach odnowiły się, niestety, dawne kłótnie pośród stołecznej inteligencyi ruskiej. Okazało się, że zgoda zszyta była białemi nićmi. Sama owa inteligencya, zespolona z czterech pierwiastków, kryła w swem łonie warunki swarów: jedna jej część wierzyła w tożsamość z narodowością wielkoruską, druga z małoruską, trzecia, jakkolwiek już nieznaczna, upatrywała swe zbawienie w pielęgnowaniu jakiejś narodowości austryacko-ruskiej i austryackim patryotyzmie, wszystkie trzy razem nadto w klerykalizmie, nareszcie czwarta, najmłodsza, widziała to zbawienie w wszechmałorusycyzmie, lecz o wybitnym postępowym kierunku europejskim.

Ton wspomnianemu wyżej jednolitemu ruchowi nadawała właściwie ta część ostatnia. Ona to, począwszy od połowy 7 dziesiątka lat położyła główny nacisk na sprawy ludowe, przez co moralnie zmusiła dwie poprzednie ruskie partye do szukania ściślejszego związku z ludem i do zajęcia się jego losem. Lecz pod ciężarem prześladowań nie mogła utrzymać się dłużej jako grupa osobna i musiała wreszcie przyłączyć się do narodowców, których sam bieg okoliczności wysunął był na plan pierwszy. Podobnie uczynić musiało i stronnictwo staroruskie, które wskutek ruchu postępowego straciło zupełnie mir śród ludu i młodzieży szkolnej, hołdującej dotychczas przeważnie kierunkowi etnograficznemu. W braku zasobu moralnych sił, a szczególnie nowych zasad, posługiwano się żywiołami radykalniejszymi. I rzeczywiście całemu ruchowi, zarówno pośród inteligencyi, jak i pośród ludu, przewodniczyły idee postępowe młodzieży z 7 dziesiątka lat obecnego wieku, ona też głównie dźwigała na sobie ciężar pracy literackiej, i tej to okoliczności przedewszystkiem przypisać należy tak szybki postępy.

Pomyślny ten objaw zwrócił na siebie uwagę szlachty polskiej i rządu austryackiego, który wytworzył partyę t. zw. metropolitalną, z ks. Sylwestrem Sembratowiczem i Pełeszem na czele.

Wybitnie klerykalny kierunek, jaki obrały jej organa, *Mir* i *Ruś*, od razu naruszył harmonię pośród ruskiej inteligencyi. Od tej chwili w narodowcach budzi się zazdrość i chęć zostania stronnictwem rządowem. W tym celu wyłączają oni z pośród siebie nietylko żywioły radykalniejsze, ale nawet wszystkie postępowe i wszechmałoruskie. Chcą wprost stanąć pod sztandarem ks. metropolity, a gdy tenże ich odpycha, śpieszą czem prędzej do biskupa Pełesza i uznają go za swego przewódcę, wyrzekając się w ten sposób przewodnich zasad swego dotychczasowego przewódcy moralnego — Szewczenki. Mimo to i rząd i wspomniani dostojnicy kościoła uważają narodowców, jeżeli nie za nihilistów, to przynajmniej za obojętnych religijnie, wskutek czego przyparci cofają się wstecz aż do najdalszych krańców. Z tego samego względu występują przeciw zwolennikom rosyjszczyzny, których nienawidzą.

Naturalnie, wszystko to jest bardzo na rękę rządowi, który, poparty w swych reakcyjnych dążnościach, zwrócił się bardzo przeciw czytelniom ruskim, nie pozwalając zakładać jednych, rozwiązuje drugie i wydaje procesy karne przewodnikom innych. Obecnie prześladowanie doszło do tego, że wszelka praca dla ludu uważana jest za zbrodnię. Niedawno np. zabronił namiestnik Zaleski założenia czytelni ludowej we wsi Żabie, jakoby z tego powodu, że dojrzano tam wpływ socyalistów. Tymczasem gmina owa, niemając pojęcia o żadnym socyalizmie, buntuje się od kilku jedynie o to, że przez zwolenników kosowskiego starostwa i namiestnictwo została wyzutą niemal z gruntów i okradzioną ze wszystkich pieniędzy w kasie. Ani jedna, ani druga partya dotychczas nie ogłosiła w całości sprawy żabiowskiej, chociaż nieszczęśliwi chłopi z podziwienia godną cierpliwością ciągle udają się z prośbami do swych patryotów we Lwowie, szczególnie do redakcyi *Diła*. Dopiero znienawidzony przez wszystkich polak Gniewosz odważył się wydać niedawno w tym względzie broszurę, w której z ust samego ludu huculskiego przedstawione są do nieba o pomstę wołające nadużycia. Naturalnie broszura ta została skonfiskowaną.

Rozumie się, że to postępowanie rusinów lwowskich fatalnie odbija się przedewszystkiem na czytelniach ludowych. Powstaje ich coraz mniej, a i poprzednio założone upadają jedna po drugiej. Brak im związku i pomiędzy sobą i z inteligencyą, brak już duchowego pokarmu... Lud, który pierwotnie z takim zapałem skupiał się w tych ogniskach, mrożony obojętnością swej „inteligencyi,“ rozczarowywa się coraz bardziej i z bólem serca wraca do swych ciasnych chałup, ażeby tam zginąć pod ciężarem wyzyskiwania wszelkiego rodzaju i ogłupiania...

I gdyby przynajmniej, opuszczając lud własny dla „wysokiej polityki,“ wspomniane stronnictwa wygrały cokolwiek w innym względzie! Gdyby przynajmniej nowi przyjaciele polityczni przedstawiali obecnie jakąkolwiek moralną siłę! Bynajmniej! *Mir* karmi się zapomogą, nie posiadając nawet 200 płacących prenumerato-

---

a szczwacz ogary spuści ze smyczy. Młoda dziedziczka, otulona futerkiem ozdobnem, patrzała zdala w ostęp i była podniecona gotującą się obławą. Bór szumiał poważnie milionem sosen wyniosłych. Kilkadziesiąt serc kołatało tętnem przyspieszonem, kilkadziesiąt płuc głębiej oddychało na myśl zwierza strasznego. U niejednego w piersi ożyło stare uczucie po praojcach wzięte, gdy ci, jeszcze za łowieckiej doby, zdobycz pod sklepieniem drzew ścigali. Niejednemu łydki zadrżały z niewyraźnej bojaźni... Wszyscy byli wzruszeni zarówno.

Zdor znikł za łohłem śród huczków. Tam miał kierować naganką. Chłopi grzęźli w śniegu z drągami na plecach, gwarząc z cicha. Pod sosenką stał wyrostek, siedemnaście może wiosen liczący. Miał on na sobie kożuszek, przez sielskiego kuśnierza uszyty i świtkę białą z sukna, w miejscowym foluszu robionego. Jechał po siano, a zawrócono go na obławę. Matka wdowa przewiesiła swemu jedynakowi na plecach „kajstrę“ zgrzebną z półbochnem chleba razowego, trzema ogórkami kiszonymi i taranem „jełkim,“ cuchnącym gorzej, niźli śledź. Więc tupotał nogami, grubo we dwie onucze obutemi, gdyż w palce szczypał śnieg, przenikający łapcie. Zapuszczał chłopiec co chwila w biesiagi rękę zgranatowiałą od mrozu po strawę, brał ją i gryzł żarłocznie. Naganiacze, patrząc na tę pracę jego szczęk, przekomarzali mu się:

— Jedz, jedz! ale podwiąż no dobrze „uczkury“ w „sukiennikach...“

— Czemu?

— Bo oberwą się.

— Od czego?

— Od strachu... Jak ci tam co przybędzie...

— Co ma przybyć? Nie boję się!

Włożył jednopalczaste rękawice włóczkowe, ujął oburęcz kół ostrokańczasty i pogroził nim w stronę legowiska.

— Ej że, Jeuhiej, bacz no, by czasem krew żółta...

— Nie drwijcie, chłopcy! On zuch! Broń Boże, nieszczęścia, na sosenkę wlezie. Taj usiądzie na gałęzi — wstawiał się któryś z poważniejszych „huczków.“

— Aha, usiądzie, nim go nie strzęsie pohaniec...

— Cicho, chłopy! — uspokajał Zdor, zbliżając się do nich. Nie rozmawiajcie, bo spłoszycie. Teraz zaczynajmy: Tiu ha!

Z. Piętkiewicz (Komar).

(D. n.)

rów; *Ruś* popieraną jest przez ultramontanów z ks. Kalinką na czele. Na prowincyi oba pisma nie mają powodzenia nawet pośród inteligencyi — ruskich księży.

Słowem, obecnie Ruś galicyjska przechodzi ciężkie przesilenie. Dzieje lat ostatnich w Galicyi udowodniły dobitnie, że jej partye niezdolne są do przewodniczenia ruchowi.

Uznając ten fakt, młodsze pokolenie postanowiło zorganizować się odrębnie. Od nowego roku ma właśnie wychodzić pod redakcyą p. Franka nowy organ p. t. *Postup*, który staje stanowczo na gruncie świeckich, cywilizacyjnych spraw i w imię dalszej, wspólnej pracy nad podniesieniem ludu pragnie zjednoczyć naokoło siebie jednostki szczere i uczciwe wszystkich odcieni.

Hucuł.

BADANIA NAUKOWE.

NEO-HISTORYZM*) w ekonomii politycznej.

I.

Metodę historyczną w niesfałszowanej formie, jak pojęli ją twórcy „kierunku historycznego,“ jak jej używali Hildebrand i Knies — możnaby z równą słusznością nazwać „metodą rozwoju,“ czyli „postępu.“

Była to bowiem metoda doświadczalna „powiększona,“ którą szkoła pozytywna Augusta Comte'a wprowadziła, kiedy z nauki o życiu, czyli z biologii wyłączyła grupę umiejętności, które nazwała — co prawda nieco z barbarzyńska — „socyologią.“

Wówczas szkoła ta nie zdawała sobie sprawy z trudności, jakie nauka społeczna, badana właśnie na tej drodze, przedstawia z powodu mnóstwa powikłanych objawów.

Dla wielości pierwiastków i zagadnień, dla wielości przedmiotów i z powodu wielokształtności ich organów, jest to nauka najtrudniejsza może „with which speculative inquiry has to deal...“

Pod wpływem nauk przyrodniczych i w skutek oddziaływania tego „historycznego kierunku“ dokonał się przewrót w ekonomii politycznej. Istota każdej nowej epoki polega na tem, że do tego, co już istniało, przybywa pewien nowy moment. Moment ten staje się dla pewnego czasu punktem wyjścia.

Ostatecznym wynikiem tych wpływów była przemiana ekonomii politycznej, takiej, jak ją pojęła teorya angielska, oparta na wszechpotężnym egoizmie, a więc prywatnej na społeczną.

Punktem wyjścia przestała być „jednostka“ i jej techniczna produkcya, a stało się „społeczeństwo“ i sprawiedliwy podział dóbr ek. między jego części składowe. Inna rzecz, czy ta zmiana wypadnie na korzyść *teoryi*. Bo czy wychodzenie z najbardziej zawikłanego objawu, z wieloznaczącego i nieuchwytnego pojęcia — une vaste synthèse — „społeczeństwa“ — zamiast prostej przesłanki o „egoizmie“ ludzkim korzystniejszem było dla teoryi ekonomii? o tem powątpiewać należy. Czy ci, którzy zalecają społeczne jej ujęcie na kredyt takich mistrzów filozofii, jak Herbert Spencer, Huxley i Bagehot, zdali sobie sprawę z trudności, które z przyjęciem „społeczeństwa“ jako punktu wyjścia dla teoryi ekonomii politycznej się wytwarzają?

„Uważać i badać tylko fakty, objawy konkretne“ w ekonomii politycznej, głoszą oni. Dobrze. Będzie to bez wątpienia prawdziwa „metoda doświadczalna“ w rozumieniu nauk przyrodniczych.

„Społeczeństwo jest organizmem żyjącym, jest zbiorem sił i funkcyj.“ Być może.

„Człowiek jest tylko molekułą, komórką, która ma swoje przeznaczenie i która się zmienia bez ludzkiego współdziałania mniej więcej tak, jak ciało pierwoszczaka lub ława koralowa.“ Istotnie, między życiem fizyologicznem, a społecznem istnieje analogia zrazu narzucającą się sama z siebie. Społeczeństwa „rodzą się, wzrastają, upadają i giną;“ podległe są prawom „naturalnego następstwa,“ tak jak twory żyjące. Bezwątpienia „rozwój pierwoszczy, komórki, elementów anatomicznych i histologicznych oraz rozwój ludzkości“ czy społeczeństwa jest bardzo podobnym — na pierwszy rzut oka — identycznym.

Zapewne jest *coś głębokiego* w tem uważaniu jednozgodności objawów, w tem przeprowadzeniu aż do ostatecznych wniosków Darwinistycznej tezy *powszechnego rozwoju*. W istocie, niczem nie można tak dokładnie uprzytomnić jednej z najpiękniejszych zdobyczy ducha ludzkiego, jak wskazaniem na tę piękną ideę powszechnego rozwoju, z której wyłoniły się „biologiczne abstrakcye“ w nauce społecznej.

Błądziłby jednak, ktoby w tych „biologicznych abstrakcyach“ dopatrywał znaku do rozwiązania społecznych zagadnień. Na jedną bardzo wybitną różnicę, zrywającą tę powszechną analogię, zwrócił uwagę prof. paryski p. Carrau, wykazując, „że komórki w pierwoszczy są równorodne (*homogene*), podczas gdy jednostki w społeczeństwie są różnorodne (*heterogene*) fizycznie, moralnie i umysłowo, co więcej, że nietylko w społeczeństwach rozwiniętych, lecz owszem nawet w społeczeństwie pierwotnem, gdzie różnica bohatera od innych, jest jeszcze bardziej bijącą w oczy“ *).

Szkoła t. z. ewolucyonistów chciała z ekonomii politycznej zrobić naukę przyrodniczą w tem znaczeniu, jak nią jest biologia, i wywołała cały szereg naśladowców, ciągnących jak ćmy za światłem, za „biologicznemi abstrakcyami.“ Dla nich „społeczeństwo, równie jak jednostka, są wyjęte z pod wpływu wolnego sądu — soustraites de la libre arbitre...“ Są to poprostu „organizmy,“ których rozwój podlega pewnym i niewzruszonym prawom. Postęp jest tam równie nieunikniony, jak upadek, jak *śmierć*, która musi usunąć organizmy zużyte.

Twórca teoryi „socyologicznej“ i spadkobierca idei Augusta Comte'a, Herbert Spencer poczytuje za zadanie i „najwznioślejsze udoskonalenie socyologii, jeżeli ona zdoła ująć ów niezmierny i wielokształtny *agregat* tak, że uwidoczni, jak się kształtuje każda poszczególna grupa na każdym z osobna stopniu rozwoju, w skutek właśnych poprzednictw lub też w skutek przeszłego i teraźniejszego działania na nią wszystkich innych wpływów zewnętrznych. Zanim jednak będzie można przystąpić do urzeczywistnienia zamiaru, mającego na celu wyjaśnienie tych wszystkich, tylekroć powikłanych objawów, należy wprzód poznać ich istotne stosunki spółczesności i następstwa, w jakich owe objawy nawzajem względem siebie pozostają. Za pomocą porównania społeczeństw różnorodnych i na odmiennych stopniach rozwoju się znajdujących należałoby pierwej wykazać właściwości ich układu i funkcyj, tudzież wzajemne ich względem siebie wymiary. Czyli, innemi słowy: zanim przystąpimy do dedukcyjnego wyjaśnienia ogólnych objawów, należy poprzednio je ustalić za pomocą metody indukcyjnej *).

Było od dawna uznaną prawdą w naukach przyrodniczych, że twory naturalne przedstawiają ciągły i nieprzerwany postęp. Rozwój jednostkowy w przyrodzie można było, nie bez odległej analogii, przyrównać do rozwoju szczegółowych objawów ekonomicznych.

Lecz jest to zdobyczą najnowszych poszukiwań na polu przyrodoznawstwa, że obok rozwoju jednostkowego przybyły nowe postrzeżenia nad zmiennością *form objawów* czyli *typów*, których najudatniejszy wyraz stanowi zasada o powstawaniu gatunków.

Była to zdobycz nietylko umiejętności przyrodniczych. Zasada powszechnego rozwoju opanowała wszystkie nauki. Ta sama teorya, która służyła Darwinowi do postawienia tezy o pochodzeniu gatunków, przeniesiona na inne pola badania wywiera wpływ niezmierny. Zasada „ciągłego rozwoju“ zaczyna na innych umiejętnościach wyciskać swoje znamię. Niebawem wszystkie one zostają pod przewagą nauk przyrodniczych i ich metody.

Jeszcze przed stu laty dowodził w Akademii berlińskiej radca konsystoryalny Süssmilch ku powszechnemu zbudowaniu, że *mowa* jest darem gotowym, danym człowiekowi. Dziś mamy prawo przyjąć za pewne, że początek języków pochodzi od surowych, artykułowanych dźwięków i nawoływań, które na podstawie stałych prawideł coraz bardziej się różniczkowały co do znaczenia, a za pomocą rozmaitego rodzaju przemian stawały się coraz sposobniejszemi do łączenia pojęć i wyrażeń myśli. Dziś wykazuje językoznawstwo wspólny początek najniepodobniejszych na pozór języków, a obok Darwinowskiego drzewa rodowego gatunków możnaby postawić rodowe drzewo języków **).

Tak samo wyrobiło się prawoznawstwo, co wykazał Savigny w Niemczech, a Henry Maine w Anglii. Było to tedy rzeczą prostego porównania doszukać się tej samej zasady powszechnego rozwoju w całym szeregu. *Państwo* i *społeczeństwo* zaczęły się również wydawać nietylko co do samego pochodzenia, lecz i pod względem swych funkcyj tworami na podobieństwo organizmów żyjących ukształtowanymi.

Stąd poszedł pohop uważania zjawisk społecznych, a później ściśle ekonomicznych za pokrewne z objawami świata przyrodzonego, organicznego. Nie można nie przyznać, że liczne objawy ekonomiczne podlegają rozwojowi. Każda forma, czy to system kredytowy, czy własność, czy przedsiębiorstwa — spostrzeżenie nieraz zrobione — przedstawiają pewien rozwój postaci, w której się objawiają. Jest to tak nazwany przez Mengera rozwój typowy. Znowu jeden dowód więcej, że ekonomia polityczna nie jest tak wykończoną i zamkniętą aż do „some unsettled questions“ nauką, jak sądził J. H. Mill; jeden dowód więcej, że rdzenia i istoty objawów ekonomicznych nie należy ujmować w pewną stałą formę danej chwili i danego czasu, lecz że przedstawić je należy w całości ich jednostkowego i typowego rozwoju.

O ile zaś stać się to może tylko za pośrednictwem badania *historycznego*, o tyle metoda historyczna w teoretycznych nawet badaniach ekonomii jest uprawnioną.

Nie co innego wyrażał prawdziwy pierwotny kierunek historyczny.

(D. c. n.).

Dr W. Lewicki.

---

*) Jest to część obszerniejszej pracy rękopiśmiennej — jak czytelnicy łatwo dostrzegą — bardzo poważnego autora p. t. „Rozwój metody w ekonomii politycznej.“ *Red.*

*) *Revue des deux Mondes*, rok 1880, zeszyt z kwietnia.

*) Spencer Herbert: *Die Principien der Sociologie.* Przekł. niem. tom I, 1877, str. 527 i 528.

**) *Darwin i umiejętności społeczne.* Odczyt G. v. Knapsa, miany d. 11 stycznia 1872 r. w Stowarzyszeniu studentów w Lipsku. *Ekonomista*, rok IX, 1874. Zeszyt III, str. 207.

HOMO SAPIENS FERUS.

W pomroce wieków zaginęły pierwsze okresy rozwoju ludzkości i tylko ze słabych śladów, jakie po sobie zostawił człowiek przedhistoryczny, możemy sobie ułożyć niedokładne zarysy jego życia. Z resztek narzędzi i broni, ze szczątków budowli uchwycone szczegóły sklejamy w jedną całość i jak obraz mozajkowy z drobnych kamyków powstaje w umyśle naszym z tych ulotnych wskazówek pojęcie o życiu praojców. Na słabych jest ono zbudowanem podstawach i wiele jeszcze pozostawia pola fantazyi. Lecz i takiego punktu oparcia dla naszych badań nie mamy w chwili, gdy zwracamy się do najwcześniejszej młodości rodzaju ludzkiego i poznać chcemy pierwotnego człowieka, jego sposób życia i zajęcia. Ścisłych naukowych danych dostarczyć nam wtedy mogą jedynie studya nad życiem ludów, dzisiaj jeszcze na najniższym stopniu cywilizacyi stojących i obserwowanie gromad zdziczałych, tj. takich, które wskutek jakichkolwiek przyczyn oderwane zostały od swego społeczeństwa i w osamotnieniu utraciły wszelkie cechy cywilizacyjnego człowieka. O pierwszych istnieje już dosyć obszerna literatura, drugiemi zajmowano się mniej.

W ostatnich czasach zestawieniem wszystkiego, co o ludziach zdziczałych wiemy i ocenieniem znaczenia ich dla rozmaitych gałęzi wiedzy zajął się profesor uniwersytetu dorpackiego, znany antropolog i embryolog August Rauber. W dziele p. t.: *Homo sapiens ferus* *) zebrał on wiadomości o 16 osobnikach zdziczałych, które w ciągu ostatnich 6 stuleci różnymi czasy zaobserwować zdołano i wnioski swoje o ich znaczeniu naukowem, politycznem (?) i pedagogicznem oparł na tym materyale. Rzecz prosta, że z tych przytoczonych 16 sprawozdań nie wszystkie posiadają stopień jednakowej wiarogodności: niektóre, zwłaszcza zaś najdawniejsze, zostały silnie przez fantazyę podających je zabarwione. Tak np. kronikarz heski Wilhem Dilich twierdzi, że w r. 1341 między wilkami znaleziono dzikie dziecko lat 7 i do landgrafa odesłano; podczas pobytu między wilkami oddawały mu one najlepszą część pożywienia, a na zimę przygotowywały schronienie w jamach, usłanych zwiędłymi liśćmi. (Chociaż szczegół ten jest widocznie zmyślony, nie przeszkodziło to jednakże J.J. Rousseau uwierzyć weń w zupełności). Późniejsze wiadomości noszą już mniej mitologiczny charakter. Bardziej np. dokładną i wiarogodną podaje już dr Mikołaj Tulp, kurator gimnazyum i burmistrz w Amsterdamie o t. z. młodzieńcu irlandzkim. Pisze on pod rokiem 1672, że przywieziono z Irlandyi do Amsterdamu 12-letniego chłopca, który od najwcześniejszej młodości przebywał między dzikiemi owcami i zwyczaje ich w zupełności przejął. Czoło miał zapadłe, skórę suchą, spaloną, gardło szerokie, język jakby zrośnięty z podniebieniem. Głosu nie wydawał ludzkiego, lecz bek barani. Dawane mu pożywienie badawczo obwąchiwał. Potraw zwykłych unikał, jadał zaś chętnie trawę i siano. Po długim bardzo czasie odwykł dopiero od życia pod gołem niebem i włóczęgi po lasach i pustkowiach.

Litwa także dostarczyła dosyć znacznego zastępu zdziczałych. Około r. 1657, podług wiadomości podanych przez naocznego świadka Tylkowskiego i wzmianek, jakie znajdujemy u Chwalkowskiego, Redwitza i innych, w lasach litewskich około Grodna, myśliwym udało się schwytać między niedźwiedziami 12-letniego chłopca, który przyzwyczajeniami i sposobem życia nie różnił się wcale od swoich czworonożnych towarzyszów. Był on silnie rozwinięty fizycznie; skórę miał bardzo białą i włosy takiego samego koloru. Głosu ludzkiego nie posiadał, lecz mruczał jak niedźwiedź. Przywieziony do Warszawy na dwór Jana Kazimierza, został przez biskupa poznańskiego ochrzczonym. Później oddano go jednemu z dworzan królewskich na wychowanie. Po pewnym czasie nauczono go chodzić na dwu nogach, nigdy jednak nie zdołano go skłonić do noszenia ubrania i przykrywania głowy. Niejednokrotnie uciekał do lasu, gdzie paznogciami korę zdzierał z drzew i soki ich chciwie pił. Zawołany szedł w tę stronę, z której głos pochodził. Pojęć religijnych wpojono w niego zaledwie tyle, że gdy powtarzano słowo „Bóg,“ wznosił oczy i ręce ku niebu.

*) ...oder die Zustände der Verwilderten und ihre Bedeutung für Wissenschaft, Politik und Schule. Lipsk, 1885.

W roku 1669, a następnie i w 1694 w lasach litewskich ujęto również dwu dzikich chłopców. O pierwszych wiemy z listów van den Branda de Kleverskerk, późniejszego ambasadora holenderskiego w Londynie, drugiego zaś widział dr Connor, lekarz nadworny Jana Sobieskiego i pisał o nim w swojej *History of Poland*.

„Homo ferus,“ opisany przez Branda, liczył około lat 12, gdy został pojmany. Umieszczono go w klasztorze pod Warszawą. Brande pisze, że gdy zbliżył się do niego, ów dziki litwin, znajdując widocznie upodobanie w jego ubraniu, brał w ręce i obwąchiwał srebrne błyszczące guziki. Nagle odskoczył, wydając dźwięki do mruku niedźwiedziego podobne i przytulił się w kącie parkanu. Gdy mu rzucono kawał chleba, obwąchał go starannie i z żarłocznością spożył. W podobny sposób zachowywał się chłopak widziany przez Connora. Nauczono go trzymać się w pozycyi stojącej — pisze lekarz Jana III — sposobem używanym przy tresowaniu psów: wyprostowano go i opierano o ścianę, zmuszając stać tak przez dłuższy czas.

Dużo wrzawy w swoim czasie zrobił jeden zdziczały, znany pod imieniem Piotra Hanowerskiego. 27 czerwca 1724 r. podczas sianokosu w okolicy miasta Hamelu, obywatel tegoż miasta Meyer, spotkał w polu małą, czarną, nagą istotę, która z wielu względów zdradzała swoje ludzkie pochodzenie. Był to chłopak mniej więcej lat 12, który na pytania Meyera zupełnie nie odpowiadał, lecz rzuciwszy się na ziemię, całował ją, a następnie ręce swoje. Za pomocą kilku jabłek zwabił go Meyer do miasta. Tu rozciągnięto nad nim dozór i starano się wtłoczyć go w ramki cywilizacyi. Lecz mały Piotr (tak został on nazwany przez chłopców ulicznych w Hamelu), żywo oponował przeciw tym zamachom na swoją wolność i przyzwyczajenia. Gdy go zamykano w pokoju, wybijał szyby i wyłamywał okiennice kilkakrotnie; gdy go zmuszono do włożenia odzieży, darł ją przy każdej sposobności. Nadzorca dla utrzymania go w spokoju używał bata, później Piotr już na sam widok tego przyrządu pokorniał i uspakajał się. Czasami jednak przymus tak go rozdrażniał, że w gniewie gryzł się sam w ręce. Przy pomocy wzmiankowanego już środka nauczono go jadać nie trawę i surowe warzywa, do których czuł szczególne upodobanie, lecz chleb i potrawy gotowane. Wzrok i słuch miał Piotr nadzwyczaj rozwinięte. Muzykę bardzo lubił i gdy mu grano, skakał i tańczył. Mowy nie posiadał i daru tego nigdy nie nabył. Daleko później w Anglii nauczył się parę słów niewyraźnie bełkotać, jako to: „Peter,“ „Ki scho“ i „Ki ca“ — co miało znaczyć „King George“ i „Qeen Karolina.“

Okoliczności złożyły się tak, że Piotr Hanowerski miał większy rozgłos, niż którykolwiek z jego poprzedników. Pojawienie się jego przypadło w czasie, kiedy z wielkiem ożywieniem prowadzono spór o tak zwane pojęcia wrodzone. Wielka waga tej sprawy wywoływała silne rozdrażnienie ze strony obu walczących obozów i zaostrzała polemikę w najwyższym stopniu. Dlatego szeroką ciekawość obudziła osoba Piotra Hanowerskiego. W zbadaniu jego umysłowego stanu spodziewano się znaleźć rozstrzygnięcie spornej kwestyi. W lutym 1726 r. na rozkaz króla Jerzego I, Piotr odstawiony został do Hanoweru, a następnie odesłano go do Anglii, jako prezent dla ówczesnej księżnej Walii, Karoliny, kobiety znanej w swoim czasie z wysokiego wykształcenia. Ta ze swej strony oddała go dr. Arbuthuot, przyjacielowi Pope'a i Swifta dla zbadania jego „pojęć wrodzonych.“ Arbuthuot atoli po bardzo krótkim czasie zadecydował, że antropologia i psychologia niewiele zyskają z tych obserwacyj. Piotr oddany został pod opiekę jednego z dzierżawców królewskich. Umarł w r. 1785, mając lat 73.

Przykład szybkiego nabycia cech cywilizacyi ze strony człowieka dzikiego przedstawia dziewczyna z Songi, przez biografów swoich zwykle panną Le Blanc zwana. W sierpniu 1731 r. do wsi Songi (w okolicach Châlons w Szampanii) pod naciskiem pragnienia zaszła dziewczyna lat 9-ciu, która nosiła na sobie wyraźne ślady długiej tułaczki po lasach. Bosa, odziana tylko w strzępki jakiejś skóry, z grubym kijem w ręku, kroczyła ona śmiało przez wieś.

Gdy ktoś z mieszkańców poszczuł na nią psa, *Puella Campanica*, jak ją nazwał Linneusz, czekała nań odważnie i gdy się zbliżył, uderzyła go tak silnie, iż pies zabity padł na miejscu. Ucieszona swojem zwycięztwem, rzucała się ona po kilkakroć z oznakami radości na ciało zwierzęcia. Nie mogąc się dostać do żadnej siedziby ludzkiej, wdrapała się na drzewo i tam zasnęła. Później została przez kobietę jakąś do wsi zwabioną. Rozciągnięto nad nią staranną opiekę i oddano na zamek w Songi. W kuchni tego zamku spostrzegła ona kilka sztuk ptactwa, przyrządzanych przez kucharza. Rzuciła się natychmiast na nie i w stanie surowym zaczęła je pożerać. Skłonność do spożywania surowego mięsa, liści, trawy itp. była u niej tak silną, że jeszcze w dwa lata potem, uciekłszy pewnego razu z zamku Songi i przepłynąwszy sąsiedni staw, Le Blanc wylądowała na małej wysepce i wzięła się do zjadania żab. Odzwyczajanie jej od dawniejszego sposobu życia szkodliwie odbiło się na jej zdrowiu. Z jednej choroby wpadała w drugą. Rysem dobrze charakteryzującym ówczesne pojęcia jest to, że opiekunowie Le Blanc, dla usunięcia dzikich skłonności, kazali jej raz po raz krew puszczać. Wskutek tego nieszczęśliwego pomysłu zdrowie jej bardziej jeszcze podkopanem zostało.

Zręcznością Le Blanc budziła podziw wszystkich. Z największą łatwością wdrapywała się ona na drzewa i trzymając się gałęzi, z jednego przeskakiwała na drugie. Po dachach chodziła jak po równej ziemi. Taki sposób życia wywarł pewien wpływ na rozwój i ukształtowanie się jej ciała. Tak np. wielki palec u rąk miała bardzo silnie rozwinięty; spowodowanem to zostało przez częste włażenie na drzewa.

Mowy Le Blanc początkowo nie posiadała; w chwili niebezpieczeństwa wydawała dziwny, przerażający krzyk. W niedługim atoli czasie, oddana na wychowanie do klasztoru w Châlons, nauczyła się języka francuskiego. Uzyskano wtedy dopiero sposób porozumiewania się z nią i dokładnego zbadania jej stanu umysłowego. Dowiedziano się jednak od niej niewiele. Pamięcią nie sięgała ona daleko w przeszłość. Nie przypominała sobie ani ojca, ani matki, ani miejscowości, z której przychodziła, pamiętała zaś tylko, że kiedyś dwa razy przeprawiała się przez morze

i że następnie często wdrapywała się na drzewa i urządzała polowanie na zwierzynę. Ostatnim wybitniejszym wypadkiem ze swojego życia poprzedniego, który zachowała w pamięci, była utarczka z rówieśniczką o wianek różany, znaleziony na brzegu rzeki. Uderzyła ona wtedy swoją rywalkę kijem i raniła ją w głowę. Gdy ta atoli krwią się zalała i krzyczeć zaczęła, Le Blanc zatamowała jej upływ krwi za pomocą skórki żaby i owiązała ranę kawałkiem kory drzewnej. Po tem właśnie zajściu poszła do Songi, zwyciężona zaś, która we wszystkiem do niej podobną była, wróciła do lasu. Podług własnych słów Le Blanc rozmyślać i zastanawiać się zaczęła dopiero po odebraniu pewnego wykształcenia; poprzednio zaś znała tylko poczucie swoich potrzeb i chęć zaspokojenia ich.

W końcu zeszłego stulecia Virey obserwował 12-letniego chłopca, zdziczałego, z okolic miasta St. Sermin. Ten również żywił się wyłącznie kartoflami, orzechami i kasztanami w stanie surowym. Po pewnym dopiero czasie przyzwyczaił się do chleba i mięsa gotowanego, ale bez soli. Wogóle potraw cukrzonych i solonych nie znosił. Mowy nie posiadał, wydawał dźwięki nieartykułowane, zwłaszcza gdy był rozdrażnionym. Słuch i powonienie miał nadzwyczaj czułe. Widok lasu wzbudzał w nim uczucie radości i tęsknoty zarazem. Ogień sprawiał mu przyjemność; grzał się przy nim nawet wtedy, gdy było zupełnie ciepło. Gdy chciał jeść lub spać, a stawiano mu ku temu przeszkody, dawał oznaki gniewu i niecierpliwości. Krzyczał wtedy, tupał nogami, gryzł i drapał. Osoby, które mu jeść dawały, rozróżniał łatwo; nie okazywał jednak względem nich żadnych oznak wdzięczności. Wogóle śladów współczucia nigdy w nim nie zauważono.

Oprócz wymienionych znajdujemy jeszcze w dziele Raubera życiorysy: chłopca bambergskiego, Jana z Liége (Johannes Leodicensis Boerharii), dzikiego z Kronsztadu, chłopców pyrenejskich i kilku innych zdziczałych osobników, o których mniej lub więcej dokładne wiadomości nas doszły.

Opierając się na tym materyale faktycznym, określa Rauber znaczenie ludzi zdziczałych dla rozmaitych gałęzi wiedzy.

Antropologia ma w zdziczałym obraz człowieka przedhistorycznego. Obraz ten jednak jest pod pewnym względem niedokładny. Człowiek zdziczały, tracąc cechy cywilizacyi, zachowuje jednak dosyć wielką skłonność i zdolność do rozwoju. Zdolność ta jest owocem życia cywilizacyjnego jego przodków; unosi on ją ze sobą, jak nieodłączne dziedzictwo na swoje życie samotne. W tym punkcie zdziczały różni się od człowieka pierwotnego. Pamiętając o tem, że mamy tu do czynienia nie z identycznością, tylko z podobieństwem, antropologia może jednak odnieść wiele korzyści z obserwacyj ludzi zdziczałych i wiele światła rzucić na życie najodleglejszych pokoleń.

Filozofia z tych obserwacyj wyprowadzić może wniosek, potwierdzający na innej drodze zdobytą już zasadę, że mowa i rozum nie są darem niebios, nie są dowodem szczególnej łaski bożej, lecz dorobkiem w ciągu tysięcy lat powoli przez ludzkość zdobywanym. Człowiek izolowany, odłączony od społeczeństwa, nietylko że sam sobie mowy nie stwarza, lecz nawet gdy do towarzystwa ludzkiego wraca, z trudnością jej się uczy. Człowiek posiada tylko zdolności, po wyższych zwierzętach w znacznym stopniu już odziedziczone do utworzenia w sprzyjających warunkach mowy. To, co nazywamy rozumem ludzkim, również nie jest cechą przyrodzoną człowieka; jest także zdobyczą całych tysięcy lat. Trzeba bardzo długich okresów czasu, trzeba wstąpienia człowieka w stan życia społecznego i ugrupowania się w państwo, by mowa i rozum istniejące w istocie ludzkiej tylko, jako uzdolnienie, rozwinęły się i wykształciły. To, czego człowiek żaden sam jeden stworzyć nie może, powstaje i zjawia się samo w chwili, gdy łączy się on z innymi.

Słabe, ledwie widzialne iskierki łączą się w niewielki płomyk, a duża ilość takich płomyków daje ognisko, które oświeca i grzeje całą ludzkość. Przez wprowadzenie pojęcia długich okresów czasu i zasady rozwoju, powstanie mowy i rozumu u ludzi staje się zupełnie jasnem. Trzeba jeszcze to uwzględnić, że rozum i mowa w rozwoju swoim okazują sobie nawzajem dużą pomoc. „Mowa, gdy raz powstała — powiada Wundt — jest nietylko już bezpośrednim wytworem samowiedzy, lecz zarazem najważniejszem narzędziem myślenia.“ Lecz ażeby uzdolnienie do utworzenia mowy i wykształcenia rozumu rozwinęło się, musi człowiek nieodzownie wstąpić w stadyum życia towarzyskiego, życia w społeczeństwie i państwie. Na tym punkcie studya biologiczne dają silne oparcie idei państwa. Wykazują one, że państwo jest podwaliną cywilizacyi, a zadaniem jego przeprowadzenie człowieka ze stanu dzikiego na wyższy stopień rozwoju.

Homo ferus ma swoje znaczenie i dla pedagogów. Racyonalne wychowanie dziecka powinno być odbiciem rozwoju ludzkiego, a kształcenie pojedynczego człowieka powinno iść temi drogami, jakiemi szedł zbiorowy umysł ludzki. Zwrócenie uwagi na tę zasadę wprowadziłoby rozmaite zmiany do zwykłych dziś urządzeń szkolnych. Ze względu np. na to, że pismo jest jednym z późniejszych stosunkowo nabytków ludzkości, w szkołach elementarnych odłożyć by należało naukę pisania na pewien czas, a więcej uczyć dzieci robót ręcznych, zajęć z zakresu rzemiosł.

Życzeniem, ażeby wykształcenie przyrodnicze poprzedzało prawne i żeby wogóle starano się więcej tłomaczyć wszystkie kwestye z punktu przyrodoznawstwa, kończy Rauber swoją pracę.

W badaniach jego znaleźliśmy potwierdzenie prawd, do których nowożytna nauka na innej drodze już doszła. Badania te do reszty zedrzeć tylko mogą romantyczną osłonę, w którą zwykle ubierano człowieka pierwotnego. Zamiast arkadyjskich pasterzy, zamiast sielankowych osobników w człowiaku przedhistorycznym widzimy istotę, niewiele różniącą się od jego pobratymców, wyższych zwierząt kręgowych. Powinowactwo to z każdym krokiem nauki naprzód zyskuje świeże potwierdzenia. Nieprzyznawanie się do niego dziś byłoby już postępkiem równie niegodnym, jak wyrzekanie się ojca w siermiędze przez wyfraczonego syna. Zresztą przeświadczenie o tem powinowactwie nie zawiera w sobie nic przygnębiającego. Kto przejął się ideą rozwoju, tego krzepi, ożywia i podnosi myśl o ciągłym postępie i przekonanie, że to, co dziś jest szczytem względem przeszłości, stanowi tylko jeden z pierwszych szczebli na drabinie cywilizacyi dla przyszłości. Z takiego punktu widzenia niskie pochodzenie rodu ludzkiego nie przynosi mu wcale ujmy, a zadaniem człowieka staje się ciągła praca na korzyść rozwoju. „En avant“ napoleońskich grenadyerów musi być hasłem ludzkości.

Mieczysław Kaufman.

LITERATURA I SZTUKA.

HOŁDY POŚMIERTNE.

I.

Niedalekim jest czas, kiedy ludzkość jak w prawo żelazne uwierzy, iż zgon wielkich ludzi jest dopiero jutrzenką ich sławy. Poeci, którzy czują w łonie swem iskrę geniuszu i tem samem buntują się przeciw ideałom, wśród których wzrośli, powinniby konieczność tę najrychlej zrozumieć i z nią się oswoić: współczesność nie ozdobi głów ich za życia laurami, chyba, że... żyć będą tak długo jak Goethe lub Wiktor Hugo, zdołają burzę namiętności uspokoić, wyśpiewać wszystko, co ich natchnioną pierś podnosi. Inni zaś, których pożera ogień wewnętrzny, zanim dojdą do pełnego rozkwitu sił swych, nie wcześniej jak na łonie śmierci słyszą pierwszy oklask tłumniejszy.

Do tych ostatnich należy Heine. Choć przeżył pół wieku, jednak na długo przed zejściem do grobu z muzą się rozstał i tylko od czasu do czasu zamieniał z nią tęskne spojrzenia. Ów płomień duszy strawił go na zgliszcza i zrobił chodzącą ruiną, wybuchającą jeno wulkanicznie i szybko gasnącą. Ale więcej zmarnowało go borykanie się z panującemi pojęciami, z gwałtami reakcyi, z okrutnymi wyrokami rządu niemieckiego, z nieprzeliczoną czeredą wrogów osobistych i politycznych. To więc, co było z Byronem, Wordsworthem, Shelleyem, Lenauem, Bürgerem, Krasińskim — powtarza się z Heinem; dzisiaj zaczynają oczyszczać dzieje tego złamanego olbrzyma z popiołów oszczerstwa i złej woli. W ciągu dwóch zaledwie lat wydano kilkakrotnie jego pamiętniki (Edward Engel); Weil ogłosił ciekawe wspomnienia; tak samo Henryk Julia; Karpeles napisał życiorys w szerszym zakroju itd. A teraz oto, w lat trzydzieści od ostatniego tchnienia poety, w chwili, kiedy prawo drukowania jego utworów przechodzi na własność ogółu, ukazuje się cały szereg publikacyj i studyów, rozpowszechniających nakoło znajomość jego dzieł i życia.

Bierzemy do ręki wydanie najświeższe, opatrzone firmą literacką, która dobrze o niem uprzedza, a mianowicie zasłużonem imieniem Gustawa Karpelesa. Sympatyczny ten dla nas z wielu względów pisarz, odznaczający się szerokim, humanitarnym na świat poglądem, krytyk łączący w sobie szerszą wiedzę z lekkością formy, zbogacił swoją edycyę cennymi przypiskami i objaśnieniami, a co ważniejsza, ze skromnością godną podziwu, powierzył wstęp biograficzny pióru, które uważał widocznie za odpowiadające trudnemu zadaniu, pomimo iż sam do lepszych znawców Heinego należy. Otóż ten wstęp właśnie, nieprzekraczający sześćdziesięciu stronnic dużej ósemki, wprawdzie zapełnionych bitym drukiem, jest w swoim rodzaju małeńkim arcydziełem, czego się zresztą spodziewać było można po twórcy, profesorze londyńskim C. U. Buchheimie, który książką swą o „Prozie Heinego“ wykazał niezwykłe zrozumienie swego bohatera i zapamiętałe kult jego w Anglii apostołuje.

Miło jest spotykać się z podobną pracą, albowiem w powodzi paszkwilów, którymi literatura ojczysta i cudzoziemska obrzuciła pamięć znakomitego liryka, zamało jest światła prawdziwie bezstronnego, zamało umysłów przystępnych zrozumieniu wyżyn filozoficznych, do których się on wspinał, i chcących spokojnie osądzić błędy, jakie w gorączkowem swem życiu popełniał. Prof. Buchheim właśnie tę miłość dla Heinego żywi, tę wyrozumiałość dla grzechów posiada, od filisterskiej ciasnoty w ocenianiu przygód wędrówki

ziemskiej wolnym jest. Postąpił on wedle cennego przepisu: „kto poetę chce zrozumieć, niechaj do kraju jego idzie“ i zbadał dokładnie wszystkie sprężyny złości, nietolerancyi, obłudy obyczajowej, których ofiarą padła pamięć niebezpiecznego „żyda.“ Dowiadujemy się stamtąd, że Heine był wprawdzie człowiekiem słabostek, że brakło mu wytrwałości i konsekwencyi w walce o zasady społeczne i państwowe, ale że w przemianach swych był szczerym i również namiętnym szermierzem nowych godeł, jak przedtem — zarzuconych. Świat nie może mu darować, że sprzeniewierzył się ideałom demokratycznym, piastowanym z początku tak żarliwie, i przeciwstawia mu Börnego, który w rzeczy samej wydawał się wobec Heinego prawdziwym Brutusem; nie może mu zapomnieć, że „myłby sobie ręce, gdyby mu je lud uścisnął,“ chociaż przedtem zapamiętale praw tegoż ludu bronił; że zdradzał ojczyznę, żyjąc we Francyi i pobierając od niej żołd; że poróżniwszy się z Börnem, zamiast odpowiedzieć na jego zarzuty i napaści, jak przystało na pisarza szanującego się, czekał na śmierć jego i wówczas dopiero rozpoczął przeciw niemu kampanię, obryzgując błotem i jadem cień zmarłego i żyjących przyjaciół, którzy honoru swego aż w pojedynku musieli bronić. Moralność wielkoświatowa nie może mu przebaczyć, że hołdował miłości zmysłowej i że nie było na bulwarach paryskich Fryny, którejby wdzięki były mu nieznane; że polemizując z von Platenem, do czego był zmuszony wycieczkami przeciwko „żydowstwu“ i „czosnkowemu zapachowi“ poezyi, wystawił go na prawdziwego błazna, wyszydził nielitościwie i podał do wiadomości publicznej w przejrzystych wyrażeniach o pewnym występku bardzo tajemnej natury, uprawianym przez Platena. Poezya realna i polityczna oburzała się, że wyśmiewa „Parnas zrównany, zniwelowany,“ pokryty szosami i siecią kolei żelaznych, na którym śpiewają się hymny na cześć „demokratycznego kartofla,“ karmiącego tłum. Słowem, nie było stronnictwa, nie było człowieka, któryby Heinego nie pragnął w łyżce wody utopić; ten za bluźnierstwa, ów za zepsucie, trzeci za wiarołomstwo. Rozważając po kolei te rozmaite oskarżenia i zapasy z niemi w porządku chronologicznym, prof. Buchheim dalekim jest od ryczałtowego usprawiedliwienia wieszcza, który, bądź co bądź, nie zawsze chwalebną siłę ducha i charakteru okazywał i nie robił zgoła wrażenia postaci jednolitej, niezłomnej i niewzruszonej w sposobie myślenia; ale zestawiając owe wykroczenia z brzemieniem prześladowań i niedoli, jakie dźwigał, przyznaje, iż niemal niepodobieństwem było nie ugiąć się pod niem. Pisarz stworzony do poezyi, a zmuszany przez rodzinę do zawodu kupieckiego, wiecznie skarżący się na biedę, trapiony niedostatkiem, a niezdolny do zarobkowania w inny sposób, nie mógł oprzeć się hojności rządu francuskiego, który jedynie z pobudek szlachetnych wspierał emigrantów, szukających w niego przytułku i gościnności. Wychodziło to nie z inicyatywy jakiejkolwiek partyi, lecz z rąk Guizota, który „nie mógł odmówić kawałka chleba“ takim, jak Heine i jego przyjaciele, dręczonym talentom. Ale kłamstwem jest, jakoby ten stosunek miał w czemkolwiek uchybiać czci obywatelskiej poety. Pomimo ciosów nielitościwych, odbieranych z ojczyzny, pomimo całego owego ogromu klątew, jakie nań spadły z rodzinnych stron, a które każdego innego zrobiłyby renegatem — kochał Niemcy miłością bezgraniczną, głęboką; cierpiał nad ich dolą, burzył się na ich ciemięzców, wyciągał dłonie do braci po duchu i nawet wówczas, kiedy, zdawało się, najbardziej do francuzów się zbliżał i literacką wśród nich rozpoczął działalność — miał jedynie na celu rozsławienie poezyi niemieckiej na obczyźnie. Lecz od sumienia i sądu rodaków oddzielał go chiński mur potwarzy i intryg, przez które palące jego słowa przedostać się do serc nie mogły. Państwa niemieckie zobowiązały się nie wpuszczać do kraju ani samego autora wraz z resztą „Młodych Niemiec,“ ani jego pism, niezależnie od czasu i języka, w jakim by się ukazać miały. Drakoński ten środek stosowany był nieugięcie i trzeba było prawdziwych cudów, by przenieść jaki utwór na grunt germański. W tych warunkach zawiść i podłość przeciwników mogły sobie swobodnie hulać po Niemczech i złożyć się na taką górę niesławy, że jej długo jeszcze, długo rozkopać nie będzie można. Do tego dzieła oczernienia grubo przykładał rękę niegdyś druh, a dziś wróg — Börne; cóż dziwnego, że tłumiona tyle czasu wściekłość, ból i żądza odwetu zahuczały huraganem w łonie sponiewieranego niesłusznie i wylały się na zewnątrz potokiem żółci? Trzeba pojąć tę otchłań cierpienia i bezsilnego gniewu, by bez obawy stronności ocenić postępki Heinego; trzeba wiedzieć, że gdy mu groziła już choroba śmiertelna i kazała ratować się u znakomitego lekarza w Berlinie — wówczas jeszcze władze pruskie wrócić mu nie pozwoliły i ginąć wśród obcych zmusiły. Zasługą to jest niemałą Buchheima, że cały ten ucisk zewnętrzny, wywierany przez literaturę państw i kler, obnażył, że odwołując się do ustępów, gdzie Heine kategorycznie poglądy swoje rozpowiada, pozwala mu się bronić samemu, a więc najskuteczniej. Z urywków tych widzimy, że był to temperament wrażliwy i czuły, kochający rodziców rzewnie i głęboko, przywiązany do żony swej Matyldy jak niewolnik, dbały o dobro jej nawet w chwilach przedśmiertnych męczarni, że owych, głośnych zbrodni cudzołóztwa nie popełniał, miłości w rozpuście nie kalał, lecz poddawał się jej tylko wtedy, gdy była silną, odwzajemnianą i niczyjego nieszczęścia za następstwo nie miała.

Nie snujemy dalej tego łańcucha oskarżeń i usprawiedliwień. Prof. Buchheim w swoim zwięzłym szkicu nie przeocza plamiących pamięć Heinego reminiscencyj, owszem, śmiało o nie potrąca, ale doprawdy, na tle katuszy poety maleją one niesłychanie. Kto okiem myśliciela i artysty badał Heinego, dla tego ów temat do obron jest zbytecznym; ten widział w nim zawsze wielkiego bojownika, znakomitego wirtuoza poezyi, genialnego satyryka-filozofa. Lecz dla innych, wobec pamfletów niepowołanych krytyków, jakich i w naszem piśmiennictwie nie brak, a jacy stanowią wszędzie większość—podobny życiorys jest wymowną wskazówką, że w zwierciedle gruntownej, jak Buchheima, znajomości przedmiotu, przedstawia się on inaczej, plastyczniej, wielostronniej. Takich, co nazywają Heinego „błaznem na Parnasie“ *), znaleźć można nawet wśród najwyższej, niepodległej inteligencyi.

Studyum prof. Buchheima jest hołdem poważnym, spokojnym i uroczystym i zaleca się pięknym wykładem, przemawiającym prawdziwie do duszy czytelnika.

O innym hołdzie, bardziej zasłużonym i oddawna oczekiwanym pomówimy następnie.

N. Hirszband.

*) Tak śmiało nazwał Heinego, niewiadomo z jakich powodów, pan Spasowicz w swoim odczycie o Hamlecie.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Jednostki równouprawnione w gromadzie. — Bibliografia i statystyka. — Szóste mocarstwo. — „Postępy literatury peryodycznej“ p. S. Czarnowskiego. — Prasa całego świata. — Nasz skromny w niej udział. — Literatura w pismach peryodycznych. — Książka i dziennik. — *Przemysłowiec.* — Przyczyny naszej niemocy ekonomicznej. — Sprzedaż nazwisk jako niespodziewane źródło dochodu. — Zabawa gimnastyczna dzieci.

Do pewnego stopnia słuszny zrobiono zarzut mojej uwadze, że grosz w złotówce i dukacie pozostaje groszem. Tak, najlichsza, najdrobniejsza jednostka zyskuje na wartości w gromadzie. Ziarnko piasku jest niczem, przez połączenie z milionem innych staje się czemś. Masa obniża wielkich, a daje wielkość małym. Najmizerniejszy łotr jest równouprawniony z najszlachetniejszym dobroczyńcą — w statystyce, a głupiec z mędrcem — w bibliografii. I tu i tam nie ma żadnej różnicy między głową a głową. Bibliograf, spisując druki, stawia Mickiewicza obok Rozbickiego, dla statystyka tyle znaczy Hamlet, co Poloniusz — jednostkę. Literatura posiada milion dzieł, ludność — milion dusz — w tym milionie stapiają się wszelkie różnice a ilości mniejsze przyjmują równy udział z potęgami najwyższemi w wyrażeniu sumy.

Prasę nazwano „szóstem mocarstwem,“ ale wtedy dopiero, gdy pisma peryodyczne rozrodziły się jak owady. Dopóki była nieliczną, lekceważono ją. I dziś zastanowiwszy się nad marnym świstkiem, nie dostrzegamy w nim nawet cząstki owego znaczenia, jak nie dostrzegamy go w źdźble trawy. Dopiero gdy te źdźbła, te świstki dodamy do innych i do płatów dużych, otrzymujemy masę — „mocarstwo.“ Gdybym był duszą najgłupszego dzienniczka i gdyby mi wyrzucano moją mikroskopową małość, przez łzy smútku uśmiechałbym się do statystyki — w niej widziałbym moją chwałę, jak żołnierz, który dla dodania sobie odwagi myśli ciągle o całej armii, do której należy.

Na podstawie olbrzymiego katalogu Hubbarda p. St. Czarnowski obrachował i wykazał rój dziennikarski całego świata. W roku tedy 1880 nad kulą ziemską krążyło 34,274 motyle papierowe. Najwięcej wylegało się ich w Europie (19,557), najmniej w Afryce — 182. Przodują ludy anglo-giermańskie (24,830) — szary koniec tworzą słowiańskie (1,107). Z krajów pierwsze miejsce zajmują Stany Zjednoczone Ameryki, ostatnie — Polinezya.

A czem my jesteśmy pod tym względem w stosunku do narodów najbardziej ucywilizowanych? W Anglii jedno pismo przypada na 8,634 mieszkańców, u nas na 52,178; kiedy Londyn ma tego rodzaju wydawnictw 1,961, Warszawa — 60. Aż mrowie przechodzi przy tych cyfrach.

Jednakże postępujemy. W r. 1700 mieliśmy 4 pisma peryodyczne, w r. 1884 — 230.

W ciągu roku na świat cały z dział prasy spada 7,344,956,805 egzemplarzy. Grad strzałów. Dużo w nich wiedzy, myśli, uczuć świeżych? Ile nasion, z których wyrastają plony żywiące ludzkość? Sądzę, że bardzo mało. Natomiast sterty plew i kąkolów, morza blagi, łany czczej paplaniny i spekulacyi. W tym ogromie zmieszały się żywioły najróżnorodniejsze. Bo jakaż to cecha je łączy? Czysto zewnętrzna — peryodyczność. Właściwie zaś, co może być wspólnego między wydawnictwem naukowem a dziennickiem giełdy? Co może być wspólnego między gazetą polityczną a organem badań przyrodniczych? To, że wychodzą w stałych terminach i drukują się na papierze czcionkami? Zaiste, rozkłady jazdy kolejowej powinny również należyć do prasy.

Przez jej pole przechodzi, a przynajmniej powinien być przekopany głęboki rów: po jednej stronie tego rowu niech się rozciąga literatura, po drugiej przemysł z handlem. Nie lekceważę ostatnich, tylko śmieję się, widząc je w niezasłużonych ga-

lonach. Ja, ty, czytelniku, my wszyscy chcemy codziennie być obsłużeni w pewnych potrzebach, których sami zaspokoić nie możemy. Każdy z nas pragnie codzień wiedzieć: jakie wypadki zaszły w Europie, w kraju i miejscu naszego pobytu, jakie są ceny produktów żywności, kursa pieniędzy, rozporządzenia rządowe, pory przyjścia i odejścia pociągów, widowiska teatralne itd. Jest więc rzeczą bardzo słuszną, że powstają organy, które nas o tem wszystkiem powiadamiają. Jest to takie same przedsiębiorstwo, jak dostarczanie mleka, bułek, dorożek, posłańców publicznych itd. Ale co ten arkusz papieru, przynoszący mi nowiny i objaśnienia, ma łącznego z literaturą, nauką i sztuką? Odcinek powieściowy lub artykuł krytyczny? W krajach, gdzie prasa codzienna stała się służebnicą interesów praktycznych, jej powieści, poezye i artykuły bywają odpowiednio fabrykowane. Zresztą, zdaje mi się, że z tych przybytków spekulacyi niedługo wypędzone będą nawet pogwałcone i przedajne muzy, zostanie tam tylko przemysł, handel i polityka.

Nadto i w tak zwanych pismach literackich często tyle bywa literatury, ile jej wymaga — bibliografia. Książka budzi szacunek, ośmiela pyszałkowatą lekkomyślność i zuchwałą głupotę; arkusz peryodyczny — nie. Na nim rozważnie rozlewać się będzie mózg najbardziej rozrzedzony, zdolny pomazać przedmiot, pewny, że jego krople zatoną po przetoczeniu się dziennej lub tygodniowej fali. Wydobyć jądro z jednego wypadku, rzucić słowa na wiatr, który je uniesie i zaprzepaści, karmić nie rozum i pamięć czytelnika, ale jego chwilową ciekawość—na to odwagi niepotrzeba. Co innego książka. Ta wymaga wiedzy, planu, ciągu, logiki lub talentu—przymiotów, które nietylko są rzadkie, ale i rzadko podrabiane. Dlatego literaci dziennikarscy rodzą się jak bedłki, a książkowi — jak trufle; dlatego na tysiąc kotów przypada jeden lew.

Pojęcie zatem „prasy“ jest z wielu względów sztucznem, nie zawiera w sobie pierwiastków jednorodnych, jej zaś rozwój nie wyraża postępu „oświaty.“ Stanowi ona sklep, w którym dostać można wszystkiego: natchnień poetycznych, badań naukowych, wywodów moralnych, ale także plotek, łgarstwa, anegdot, przepisów praktycznych, ... podstępnych i wielu innych towarów. Gdyby ktoś założył magazyn, w którym by na pułkach obok brylantów położył podkowy, obok aksamitu — serdelki, obok materyj jedwabnych — postronki, obok książek—naftę— stworzyłby coś przypominającego „prasę.“

Nasza bardziej niż inne odbija w sobie literaturę, Jest to zapewne z jednej strony objaw, którym cieszyć się trudno, ale z drugiej świadczy, że stosunkowo mniej łykamy bieżącego kurzu. Posiadamy np. 23 dzienniki a 78 tygodników i 57 (?) dwutygodników — dowód, że „szóste mocarstwo“ u nas przeważnie zajmuje się sprawami umysłowemi. Jak — to rzecz inna. Służba w tych szeregach łatwa, więc ochotników wielu. Są nawet obozy, pułki, roty, sztandary — czasem hełmy tekturowe, pałasze drewniane, armaty ze starych rynien, naboje z grochu, mundury z kolorowego papieru, a chorągwie powiewają małym rycerzom z tyłu, lecz taka armia istnieje wszędzie.

Niezmiernie ciekawe i charakterystyczne są w naszej prasie przemiany jej gatunku ekonomicznego. W ciągu ostatnich lat 20 pod rozmaitemi postaciami powstawał i zamierał organ poświęcony gospodarstwu społecznemu. Te kilkakrotne jego zgony przekonywają, że w społeczeństwie podstawy nie miał lub potrzebom istotnym nie odpowiadał, ciągłe zaś zmartwychwstania świadczą, że to potrzeby, chociaż może niedość szeroko odczute, istnieją. Pod koniec roku obecnego wystąpiły znowu dwa pisma ekonomiczne: *Tellus* z założeniem bardziej specyalnem i *Przemysłowiec* z ogólnem. Ten ostatni zaledwie ujrzał światło dzienne. Jak widać z odezwy, pragnie on mocno wybijać akordy swojskości. „Nie łudźmy się tem — powiada — iż przemysł istniejący obecnie u nas jest naszym. Stworzyła go i dzierży obca ręka, wysysająca dla siebie wszystkie soki żywotne, podczas kiedy siły miejscowe albo stoją na uboczu, założywszy apatycznie ręce, albo biorą się do rzeczy nieumiejętnie, aby niebawem upaść pod naciskiem przewagi cudzoziemczyzny i powiększyć szeregi rozczarowanych, nieufających nikomu i niczemu.... Wierni zatem tytułowi naszego pisma będziemy rozbudzać prasę gospodarczą w naszym kraju, bronić jej praw tak na polu ekonomicznem i społecznem, jak technicznem.“ Trudno orzec, na co my bardziej skarżyć się powinniśmy, czy na „obcą rękę,“ która „wysysa dla siebie wszystkie soki żywotne,“ czy na „nasze ręce założone apatycznie lub biorące się do rzeczy nieumiejętnie.“ Bo ostatecznie czy można złorzeczyć, a nawet dziwić się tej „obcej ręce,“ że u nas „stworzyła i dzierży“ przemysł, kiedy my go dotąd „stwarzać i dzierżyć“ nie umiemy, a nawet często otaczamy wzgardą? Choremu przebaczamy kaprysy i drażliwości: pobłażliwie też należy sądzić wstręty naszego społeczeństwa do gorzkich lekarstw—do wszelkiego krytycyzmu. Ale niepodobna ulegać tym wstrętom w interesie jego zdrowia. Los wtedy by nam dogodził całkowicie, gdyby usunął „rękę obcą“ a w naszą włożył pieczonego gołąbka. Stanowczo w tej sprawie żądamy zawiele od niego, a za mało od siebie. Nad rozwojem przemysłu krajowego musimy pracować nie samem utyskiwaniem, nie marzeniami o cłach, ale także zdolnością i umiejętnością prowadzenia walki współzawodniczej. Ze wszystkich wytworów ludzkich najmniej uczuciami się rządzi przemysł. On wychodzi na rynek jedynie ze swą wartością materyalną, a nabywcy pytają o jego przymioty użytkowe i cenę, a nie o pochodzenie. Nowy organ rozpoczął w pierwszym numerze wykazywać „przyczyny naszej niemocy przemysłowej i możliwe środki zaradcze;“ do przyczyn ekonomicznych — według p. Kuszla—należą przedewszystkiem: „przeszkody stawiane przemysłowi naszemu przez „pasorzytny— niemiecki“ oraz gospodarka spekulacyi żydowskiej, gdyż nawet „nasze wielkie instytucye kredytowe grają w tym razie rolę kanałów, którymi zaoszczędzony grosz z całego kraju spływa do rezerwoaru żydowskiego.“ A więc znowu biesy siedzą tylko zewnątrz nas! Stara to bawełna, w którą oddawna owijamy sobie prawdę. Produkt ten nie powinien być wyrabianym w *Przemysłowcu*, który wtedy dopiero swym czytelnikom dobrze radzić będzie, gdy przestanie odprawiać wobec nich nabożeństwa z kozłem ofiarnym. Warunki dużo winny, ale czyż tyle, żebyśmy mogli pokwitować siebie bez zastrzeżenia z usiłowań?

Istnieje przemysł, którego nie zaniedbywaliśmy i który posunął się dużym krokiem naprzód: mówię o rodowodach. Posiadacze „pięknych“ nazwisk i dobrych herbów mogli z nich zawsze zrobić użytek, klejnoty wszakże w świeżym fakcie znalazły nową postać zbytu: oto — donosi *Kuryer w.* — jakiś plebejusz *dorosły* kupił sobie przybrane ojcowstwo u jakiegoś szlachcica. Z rodzimem nazwiskiem, z rodzonym ojcem nie było mu wygodnie, został więc synem człowieka obcego. Jeżeli to prawda, a nie koncept zmyślony na pociechę tych, którzy nic innego nie mają do sprzedania, przyznaję, że na ciężkie czasy ten środek „ratowania pozycyi“ wcale nie zły. No, i ktoby się spodziewał, że każdy ...*ski* z „porządnej familii,“ choćby stracił wszystko, może jeszcze coś dostać za wieczystą dzierżawę swego nazwiska—i to dzierżawę niezmonopolizowaną. Wszakże żadnemu „synowi“ przybranemu nic to szkodzić nie będzie, że jego „ojciec“ wielu innych przyzna za swoje dzieci. Odkrycie tego źródła dochodu dla wielu równa się wynalezieniu srebrnej żyły w majątku wystawionym na subhastacyę. Ileż stąd spłynie szczęścia na ludzi. P. Kropkowski został tureckim świętym — adoptuje 20 synów, którzy mu płacą po 3 rs. miesięcznie i ma dożywotnią rentę. Pan Przytulisz chce się żenić z bogatą panną Tombak, żydówką, której nazwisko pozłocić się nie da: wynajmuje dla niej ojca z „pięknem“ imieniem — i ma szlachciankę. Słowem, dawno już nie wynaleziono sposobu skuteczniej rozwiązującego wiele zagadnień społecznych.

Dzieci nas zajmują — śliczny objaw! Metoda Winnickiego legła w składzie starych rupieci, natomiast sprowadziliśmy sobie i sprowadzamy systemy wychowawcze nowsze. Po karnawale letnim w Zwierzyńcu zaczęto urządzać zabawy gimnastyczne w Tattersalu. Dziwnym trafem drugi raz zwierzęta dają przytułek dzieciom. Nowy jednak pomysł nie zwabił tylu chętnych, co poprzedni, chociaż nie brakło nawet bufetu. Czyżby i maleństwa nęcił głównie taniec? Pląsy w Zwierzyńcu cieszyły się olbrzymiem powodzeniem, do Tattersalu na ćwiczenia gimnastyczne przybyła, a raczej przyprowadzono szczupłą gromadkę drobiazgu. Ośmielona bawiła się ona ocheczo i bawiłaby się jeszcze lepiej, gdyby była liczniejszą. Pisma zaznaczają, że oprócz kilku wyjątków, nie przestrojono dzieci. Niech tam zapanuje moda skromności, gdyż inaczej kosztowne ubrane lalki zrobią naprzód wystawę drogich majtek i kurtek a potem wypłoszą biedniejszych towarzyszów, o których tu głównie chodzi. Papugi bowiem i kolibry znajdą zawsze dla siebie rozrywkę, tylko szare wróble muszą jej szukać.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Moralność ewangelicka i katolicka w Łodzi. — Apostołowanie *Dziennika łódzkiego* przeciwko drobnemu przemysłowi. — Raczej wydajmy 115,000 rs., niżbyśmy szowinizmem obrazili niemców. — Wyprawa naszych ekonomistów na depozyta Tow. kred. ziemskiego. — Cenna rekomendacya w łamach *Kroniki rodzinnej.*

Do wyszukiwania i opracowywania przedmiotów interesujących posiada *Dziennik łódzki* niewątpliwie zdolność większą i siły zasobniejsze, niż inni prowincyonalni jego koledzy. W ostatnich kilku numerach spotykamy w nim obszerny artykuł, oparty na danych liczebnych szczegółowych, p. t. „Ruch ludności w Łodzi w 1884 i 1885 r.“ Jest to zsumowanie stałego działu, prowadzonego w tem piśmie p. t.: „Statystyka ludności.“

Z tablic statystycznych *Dziennika* widzimy, że ludność katolicka wchodzi w związki małżeńskie przeważnie w styczniu i lutym, przed wielkim postem, jako też w październiku i listopadzie, przed adwentem. W marcu i grudniu z przyczyn kościelnych nie bywa ślubów. Ewangelicy idą poniekąd za tym samym przykładem. Śluby żydowskie w ciągu obu lat uległy również falowaniom: największe ich liczby przypadają na początek pierwszej połowy roku (styczeń i luty) i w drugiej połowie roku, na jesień.

Wogóle było małżeństw:

	1884 r.	1885 r.
katolickich	509	663
ewangelickich	467	378
żydowskich	108	127
razem	1084	1168

Z ilości ślubów nie można wszakże wnosić o zawartych związkach, „ponieważ — mówi *Dziennik* — wśród ludności, biedniejszej zwłaszcza, bardzo wiele związków powstaje w drodze dobrowolnego porozumienia się, bez zawierania ślubu kościelnego i ponieważ wśród ludności izraelskiej ślub bardzo często bywa niemeldowany w zarządzie gminy, przez co nie figuruje w spisach.“ Stwierdzenie powyższego spostrzeżenia widzimy w cyfrach narodzin. *Dziennik* zestawia te cyfry z podziałem na dzieci żywo i nieżywo urodzone, ślubne i nieślubne, a nadto według płci i miesięcy. Zanotuję, że urodziło się dzieci:

	w 1884 r.		w 1885 r.	
	ślub.	nieślub.	ślub.	niešl.
katolików	2617	230	2860	216
ewangel.	2172	71	1958	87
żydów	721	3	1261	4
razem	5510	304	6079	307

Jeżeli pominiemy statystykę urodzeń żydowskich, jako oczywiście fałszywą (w przeciągu dwóch lat podano np. tylko *troje* dzieci nieżywo urodzonych na 235 zameldowanych urodzeń), to z porównania stosunku urodzeń ślubnych do nieślubnych u katolików i ewangelików uderzające otrzymamy wyniki, na które — dziwna — że *Dziennik* nie zwrócił uwagi. Znajdziemy tedy następujące odsetki urodzeń nieślubnych w porównaniu do ogólnej liczby urodzeń:

	1884 r.	1885 r.
u katolików	8,08%	7,02%
u ewangel.	3,16%	4,25%

Czemu te różnice przypisać?

„Napróżno zdaje się — mówi Haushofer (*Wykład statystyki*) — starano się wykazać wpływ prawodawstwa i wyznania na procent nieprawych dzieci. Wpływ taki należy raczej upatrywać w odrębnościach danego narodu i w miejscowych zwyczajach.“

Rzeczą jest pierwszorzędnego interesu dla ludności katolickiej miasta Łodzi wiedzieć, o ile tak znacznie wyższy moralny poziom u ewangelików jest wynikiem upośledzenia materyalnego roboczych klas katolickich i na jakiej drodze możnaby przedsięwziąć podniesienie tej ludności z upadku, a mianowicie zabezpieczenie robotnic od pożądliwości różnych fabrycznych zwierzchników.

W tem samem piśmie znajdujemy pobieżne streszczenie pracy p. Bezobrazowa, członka Akademii nauk w Petersburgu, p. t. „Studya o ekonomii narodowej w Rosyi.“ *Dziennikowi łódzkiemu*, wychodzącemu w mieście pełnem wielkich fabryk, podobało się „odparcie teoryi bronionej przez zapalczywych stronników małego przemysłu,“ zawarte w opisie rozległego okręgu części zachodniej powiatu niżno-nowogrodzkiego, Ardatowa, Gorbatowa, Pawłowa i okolic, gdzie przemysł drobny panuje niepodzielnie. „Okolica ta jest sławną przez swoje wyroby metaliczne: noże, widelce, scyzoryki, brzytwy, nożyczki, zamki są tam wyrabiane w ilościach olbrzymich i rozchodzą się po całej Rosyi. Jest to tryumf przemysłu drobnego, ale zarazem tryumf rutyny. Każdy pracuje u siebie wedle sposobów przekazanych z ojca na syna. Przetwarza się pewne modele, przyjęte raz na zawsze i nikt nie myśli o ich udoskonaleniu. Metoda zacofana, nieznajomość najelementarniejszych prawideł techniki, czynią zresztą wszelki postęp zbyt trudnym. Brak kapitałów, brak wszelkiego doświadczenia handlowego... oddają drobnych przemysłowców na łaskę kupczących i kapitalistów *miejscowych*. Kupcy hurtowi, nieliczni w centrach handlowych, a nadewszystko po wsiach, są w porozumieniu i tworzą zmowę... Trudno sobie wyobrazić coś bardziej opłakanego nad stan Pawłowa i wiosek okolicznych. Sam widok Pawłowa jest ponury. Brud i nieporządek posunięte tam do ostateczności. Pracują tam wszędzie, we wszystkich domach, a nawet po ulicach... Wielka liczba ludzi nagich biega po mieście bez ubrania, które zdejmują podczas pracy z powodu upału w kuźniach... Nędza w Pawłowie jest nieustającą, dziedziczną, dotyka całej klasy roboczej i *mimo wszelkich przedsiębranych środków* (?) dotychczas nieuleczalną. Wytężenie pracy dosięga tam maximum niewiarogodnego. Największa część robotników pracuje tam po 15—16 godzin dziennie, a wielu z nich, zarówno mężczyzn jak i kobiet, po 18 godzin dziennie.“ Lekarstwo na to wszystko *Dziennik* łącznie z p. Bezobrazowem upatruje w „zastosowaniu siły mechanicznej albo wielkiego przemysłu.“

Czy tylko w istocie innego niema lekarstwa, mianowicie zaś, czy doprawdy *przedsiębrano wszelkie środki*, żeby nędzę tamecznych robotników poprawić? Z przytoczonego ustępu nasuwa się domysł, że pomiędzy tymi środkami o dwóch drobnostkach nie bardzo pamiętano: o wykształceniu fachowem i o rozwinięciu stowarzyszeń. Być może, iż dźwignie te choć w części zrównoważyłyby nieobecność „wielkiego przemysłu.“ Bez nich w samej rzeczy może dla robotnika praca w wielkim przemyśle jest korzystniejszą, niżeli w drobnym, zwłaszcza jeśli ten drobny przemysł jest uprawiany nie w chwilach wolnych od zajęć rolniczych tylko, ale pochłania w zupełności życie robotnika.

Nim wyjdę z dziedziny spraw przemysłowych, pozwolę sobie wskazać przykład, jaki naszym kupcom dają handlarze paryscy. Nie poczynili oni na tegoroczną gwiazdkę żadnych zamówień za granicą, lecz tylko u fabrykantów paryskich. Oburzona *Tägliche Rundschau* berlińska, obwinia prasę francuską o wzbudzenie takiego szowinizmu. My zapłaciliśmy w roku zeszłym samego cła od zabawek, sprowadzonych z zagranicy 114.760 rs. i w bieżącym roku zapewne sprowadzimy nie rozgniewamy gazet berlińskich, owszem, sprowadzać będziemy niemieckie fraszki niemniej ochoczo jak dotąd, mimo że tyle krajowych fabryk zabawek nabudowali w ubiegłym roku... reporterzy kuryerków.

Niektórzy nasi ekonomiści gazeciarscy znaleźli ratunek na brak kapitałów w przemyśle. Proponują uruchomienie milionowych depozytów, złożonych w kasach Towarzystwa kredyt. ziemskiego. Spotkawszy się kilkakrotnie z tem pomysłowem lekarstwem w łamach naszych czasopism, rad byłem, kiedy przypadek wsunął mi w ręce „Zdanie sprawy dyrekcyi głównej Tow. kred. ziemsk. z czynności dokonanych w czasie od d. 1 (13) listopada 1885 r. do d. 1 (13) maja 1886 r.“ Sprawozdanie to ukazało się w druku pod koniec sierpnia b. r., daje więc zapewne najświeższy, dostępny publiczności materyał. „Niema dymu bez ognia“ — mówi przysłowie. Towarzystwo kredytowe posiada rzeczywiście depozyta i to w imponującej sumie. Składają się one z papierów procentowych, własność Towarzystwa stanowiących, z depozytów spornych, z funduszów dla niezgłaszających się po odbiór należności za wylosowane listy zastawne i kupony ubiegłe, z wpływów na rachunek rat, które to wpływy mają posłużyć do następnych wypłat, wreszcie z funduszów na administracyę władz Towarzystwa. Którą też z powyższych pozycyj chcą uruchomić światli projektodawcy?

Innego rodzaju pytanie, już nie z ekonomicznej, ale z moralnej dziedziny, pragnąłbym wystosować do *Kroniki rodzinnej*. Czcigodna ta śpiżarnia duchowa białogłów naszych uważała za stosowne polecić im do czytania i rozmyślań książkę p. Leo Taxila p. t. *Siostry wolnomularki*. Idzie o to, żeby poinformować nasze panie: 1) co to jest wolnomularstwo i 2) jakich też bezeceństw i sprosności dopuszczają się wolnomularze z wolnomularkami. Pokarm to pożywny i soczysty, a kucharz, który go przyprawił, ma ustaloną firmę. P. Taxil— to niestrudzony pracownik na niwie pornografii. Dla niego każdy przedmiot dobry, co się do tłustych opisów nadaje. Studyuje zarówno konfesyonał jak domy publiczne — a zawsze z tego punktu widzenia. Żeby rekomendacya tem pewniejszy skutek odniosła, *Kronika rodzinna* przytoczyła w całej rozciągłości spis rozdziałów książki o *Siostrach wolnomularkach*. Spis ten obejmuje trzydzieści kilka wierszy petitowych, niezmiernie zaciekawiających, przesianych wzmiankami o Wenerze, o Nimfach różanych, o przyjęciu miłości itp. Że czcigodna redakcya *Kroniki rodzinnej* sama uraczyła się korzenną lekturą, tem nie mam się prawa gorszyć. Ale czy nie było przyzwoiciej użyć tej przyjemności w ciszy i tajemnicy, nie zachęcając do niej czytelniczek? Lubimy powstawać na niemoralne romanse. Ale niemoralnych moralistów propagujemy dyskretnie. Figielki... figielki... a nieładne!

K. Zbrucki.

POD MIKROSKOPEM.

Rzeczywistość jest ciasną,
możliwość—niezmierzoną.

I.

Na początku tego miesiąca redakcya *Hodowcy* mściła prospekt, w którym zapowiedziała wydanie *Encyklopedyi rolniczej*. Dzieło takie wyszło przed 10 laty, ale zostało rozkupione. Nowy nakładca przeto miał pole opróżnione i— jak mniemał — odpowiednie pod świeży zasiew. Zebrał liczne grono współpracowników i jakkolwiek dość naiwnie nazwał wszystkich — a między nimi i siebie— „*najpierwszemi powagami* w kraju i zagranicą,“ nie pomnąc, że co innego Pasteur, a co innego p. Kotłubaj — przedstawił poważną rękojmię dla swego przedsięwzięcia. Czego mógł się obawiać? Tego jedynie, czy myśl *bisowana* się uda, czy *Encyklopedya* znajdzie tylu nabywców, ile potrzeba na pokrycie kosztów.

„W tem tylko miejscu jestem śmiertelnym“— mówił on zapewne do siebie, wpatrzony w gwiazdę noworoczną. I słusznie doznawał tej obawy. P. Ćwierciakiewiczowa lub ks. Dunin nie wyssali może pesymizmu z piersi obecnej chwili, ale wiele autorów i wydawców, doświadczyło, że dziś książka, zwłaszcza gruba i „ciężka,“ zwężonym przesmykiem handlu przedostaje się z trudnością. Wielkiem powodzeniem cieszą się *premia* i wszelkie „bezpłatne“ dodatki, ale nawet rubla za trzy zeszyty — łatwiej u gęsi dostać owsa a u chłopa smoły.

Przypuszczam, że nad tą kwestyą rozmyślał p. Kotłubaj, zanim puścił swój prospekt, i że wreszcie uspokoił się następującem rozumowaniem:

— Tamtę *Encyklopedyę* szybko rozchwytano; chociażby moja popłynęła nie pod tak mocno wydętym żaglem, jednakże nie zatonie, bo nie ma współzawodnictwa, któreby ją zatopiło. Będzie sama, to dużo znaczy.

Ale — ostrzega poeta — „nie ciesz się, gdyż potęgi losu są zazdrosne, a przedwczesna radość wkracza w ich prawa.“

Gdy tak p. Kotłubaj dumał, rozjaśniając wątpliwości wiarą w samotność swego zamiaru, nagle, bez chmurki, bez grzmotu, spada na niego piorun. Mianowicie jedna z gazet ogłasza tę niewinną wiadomość:

— Współwłaściciele pierwszego wydania *Encyklopedyi rolniczej* ustąpili swoje prawa Muzeum przemysłowemu, przekazując mu nadto wszelkie klisze drzeworytnicze wartości około 10,000 rs. Muzeum przystąpi niebawem do pracy nad nowem wydaniem i puszczeniem go w świat. Kierunek redakcyi powierzono byłemu profesorowi Instytutu w Nowej Aleksandryi, a o-

becnie radcy Towarzystwa kred. ziem. p. Tadeuszowi Kowalskiemu.

Jeżeli p. Kotłubaj, czytając to doniesienie, zaopatrzone gorącą pochwałą dla Muzeum, przecierał oczy w przypuszczeniu, że one go mylą— wcale się temu nie dziwię. Usłyszeć bowiem o zamiarze wydania *Encyklopedyi rolniczej* wtedy, kiedy się zamierzyło wydać *Encyklopedyę rolniczą* i mniemało, że dawna umarła — jest to mniej więcej wziąć ślub z wdową, której nieboszczyk mąż zjawił się przed nowożeńcami, odchodzącymi od ołtarza.

Sprawa ta jednak ma mniejszą stronę komiczną, niż poważną. Ponieważ oba przedsięwzięcia ogłoszone zostały publicznie, wyjdą zatem dwie *Encyklopedye rolnicze*. Czy one mogą liczyć na rozkup nawet w zakresie kosztów nakładu? Czy jedna warstwa małego społeczeństwa, warstwa nienajpohopniejsza do nabywania książek naukowych a obecnie zubożona, może podtrzymać takie dwa duże i jednorodne dzieła? Czy na zewnętrznej wartości tych dzieł nie odbije się ścieśniona współzawodnictwem ich rozsprzedaż? Wątpić trudno.

Na złość próżne kobiety ubierają się, na złość giełdziarze obniżają kursa papierów publicznych, na złość robimy sobie wzajemnie wiele figlów, ale na złość wydawać książek nie należy. W każdej dziedzinie literatury zdolnych pracowników nam brak, rozdrabnianie więc tych maleńkich gromadek dla mnożenia tożsamości siłami niedostatecznemi jest objawem histeryi, z której winniśmy się uleczyć. W tym wypadku najlepiej zrobią oba przedsięwzięcia, gdy się połączą: walka nie da zapaśnikom zadowolenia, a społeczeństwu korzyści. Już dosyć mamy naśladownictw. „Rzeczywistość jest ciasną, możliwość niezmierzoną.“ Czy dla energii, uzdolnień, mało posiadamy pola nietkniętego i musimy włazić na kark tym, co jakiś zagon orzą? Ile my sami popsuliśmy sobie warsztatów pracy niezgodą! Ile tysięcy rublij utopiliśmy bezowocnie w bibule czernionej bez potrzeby!

II.

„Dawajcie, ale jeśli możecie, oszczędźcie biednemu wstydu wyciągania ręki.“ Według rady Diderota zaczęto żebrakom naszym „oszczędzać wstydu wyciągania ręki“ — i ta wspaniałomyślność wcale im się nie podobała. Otwarto gościnne przytułki, od których uciekają, jak od więzień. Wstręt ten objaśniają wypadki — jeśli prawdziwe, w których — według zapewnienia *Kuryerów* — znajdowano w kieszeniach dziadowskich papiery procentowe sum znacznych. Zamiana sowitego dochodu z jałmużny na skromne utrzymanie w przytułku — niepopętna. Bronią się też żebracy, jak przepłoszone szczury. Niektórzy z nich prawdopodobnie zrzucą łachmany i przywdziawszy szaty porządne, wystąpią jako kapitaliści, a może nawet otworzą salony. Nędza jest świętą, ale jej wyzysk podłym. Rzemiosło dziadowskie ogarnęło u nas nietylko biednych i kaleki, ale także mnóstwo próżniaków i oszustów. Rewizya tego cechu była i po wsze czasy będzie konieczną. Jeżeli niepodobna dziś jeszcze z ulic i z pod kościołów usunąć tych nieszczęśliwych narośli społeczeństwa, niechże przynajmniej wyciągają ręce jałmużny godni, niech w żebracze łachmany nie przebiera się zepsucie i spekulacya.

III.

Wystawa odzieży i potrzeb (?) mieszkalnych, wystawa hygieniczna, wystawa szkiców — Warszawa pięknie wygląda w tym wieńcu z plonów, jak żniwiarka na dożynkach. Wartością każdego towaru jest zawarty w nim „kryształ pracy“ — powiadają ekonomiści. Jest to najpiękniejszy kryształ między klejnotami, jakimi człowiek i społeczeństwo się zdobi. Wystawy mogą być ubogie, ale tkwi w nich spełnione to hasło wieku, które Gambetta nazwał najwyższem: praca.

Gezyasz.

O PRAWDĘ.

Szanowny Redaktorze! W imię zasady, wyrażonej w nagłówku pisma pańskiego, proszę o umieszczenie w niem obrony od zarzutów, jakie mi w przedostatnim numerze *Prawdy* robi p. Zbrucki, ex re mojej pracy drukowanej w *Wieku* w d. 20 z. m. pod tytułem: „Kooperacya handlowa producentów rolnych.“ Na zadane na wstępie pytanie: „Dlaczego rolnik u nas towar swój zazwyczaj sprzedaje niżej rzeczywistej jego wartości?“ ostatecznie wskazuję dwie przyczyny: 1) że przy kupnie zboża kupiec ma za sobą for specyalisty w swoim fachu odpowiednio przygotowanego i rutynowanego, wówczas gdy rolnik występuje jako dyletant, przez którego sprawy handlowe traktowane są tylko przygodnie i 2) że u nas kredyt jest trudny i stopa procentowa wysoka. Na pierwszą przyczynę p. Z. się zgadza, a zdaje mi się, że zastanowiwszy się, zgodziłby się i na drugą. Gdyby rolnik, potrzebując na razie pieniędzy, mógł ich łatwo i tanio dostać, nie potrzebowałby, dla wzięcia zaliczki, za bezcen sprzedawać produktu.

Dawszy powyższą, może nie nową, ale w każdym razie słuszną odpowiedź na pierwsze pytanie, zadaję inne ogólne, mianowicie: „Dlaczego u nas kredyt jest trudny i drogi?“ Jako przyczynę tego smutnego dla całego naszego społeczeństwa faktu, podaję niewyrobienie się z miejscowego żywiołu potężnej klasy przemysłowo-handlowej. Im klasa ta umiejętniej potrafi obracać wypożyczonym jej kapitałem, t. j. im ten kapitał w jej rękach jest bezpieczniejszy i większe przynosi korzyści, tem podaż ze strony kapitalistów jest większą, kredyt łatwiejszy a przeciętna stopa procentowa niższą.

Oto streszczenie mego artykułu w *Wieku*. Na jakiej więc zasadzie dochodzi p. Z. do wniosku, jakoby wysnutego z moich wywodów, że tani kredyt może zastąpić fachowość? Nie wiem, przypuszczam jednak, że chyba tylko bardzo pobieżne przejrzenie mojej pracy jest tego przyczyną. W takim jednak razie należy się wstrzymać z sądem.

W. Kuszell.

Do wniosku, jaki wyciągnąłem z artykułu p. K. drukowanego w *Wieku* doprowadziło mię zestawienie twierdzeń: „że racyonalna organizacwa kredytu, u nas dotąd zupełnie nieistniejąca, mogłaby *w części* złemu zaradzić. Ale *tylko do pewnego stopnia ponieważ* instytucye kredytowe nie są źródłem kredytu, lecz jedynie kanałami, którymi do ogółu dochodzi (kredyt).“ Samo źródło zaś wytryśnie, i „*stanowcza* poprawa stosunków kredytowych nastąpi,“ gdy ze rdzennego, miejscowego żywiołu wytworzy się potężna klasa bogatych przemysłowców i kupców, zwana zagranicą *la haute bourgeoisie*.

Korzystam ze sposobności, aby dokładniej rozwinąć mój pogląd na mniemania wypowiedziane przez p. K. w *Wieku*, mniemania, podzielane przez bardzo wielu rolników.

P. K. mówi, że: „osoby, zatrudniające się *tak* przemysłem *jak i* rolnictwem na własną rękę, zmuszone są także dokonywać *pewnych czynności niemających związku z właściwym ich fachem*, od których wszakże w bardzo znacznej części zależy wysokość zysków. Czynności te są: kupno materyałów surowych i sprzedaż artykułów już przetworzonych.“ Wbrew słowom powyższym jestem zdania, że każdy przemysłowiec *jest obowiązany umieć* kupować materyały surowe i sprzedawać swoje wytwory; umiejętność ta nietylko nie jest pozbawioną związku z jego fachem, ale stanowi część od fachu nieodłączną, konieczną. Rolnictwo nie jest czemś od przemysłu różnem, ale jest jedną z gałęzi przemysłu. Dla rolnika więc taż sama umiejętność jest *niezbędną*.

Że liczba przemysłowców bogatych, potężnych i z żywiołu rdzennie swojskiego pochodzących jest u nas bardzo mała, to prawda zupełna, mająca jednakie zastosowanie w mieście i na wsi, w przemyśle fabrycznym i rolnym. Winą tego jest *dyletantyzm*. Nie umiemy kupować, nie umiemy sprzedawać, nie umiemy obliczyć ceny, rozpoznać konjunktur przyszłych i warunków obecnych. Kto pożycza pieniędzy nie dla rozwinięcia swego *fachu*, ale bądź na swoje utrzymanie, bądź na zabawkę amatorską, ten płaci nie procent, ale lichwę. Sami o tem wiemy z doświadczenia, i dlatego też ci z pośród nas, którzy mają pieniądze, o ile brzydzą się lichwą, to nie chcą udzielić pożyczki swoim potrzebującym sąsiadom, bo czują, że powinniby za swoje ryzyko pobrać ogromne odsetki.

Jestem od pesymizmu daleki, wierzę tedy, że w przyszłości liczba dyletantów się zmniejszy, liczba fachowców powiększy na wsi i w mieście, w tem jedynie rozumieniu podzielam nadzieję p. K., że podówczas warunki kredytu wogóle łatwiejszemi się staną. One i dziś są stosunkowo łatwiejsze dla przedsiębiorstw (rolnych i fabrycznych) prowadzonych fachowo. Proces znikania dyletantów przyśpieszyłby się, gdyby im tani kredyt otworzyć. Ale pośpiech zbyteczny w tym kierunku przyniósłby szkody innego rodzaju, niełatwe do powetowania. Szeroki i tani kredyt, otworzony niegdyś przez rząd pruski dyletantom poznańskim, odegrał rolę drożdży w tem piwie, które dziś poznaniacy spijają. Ale rząd pruski spodziewa się osadzić fachowców — na roli od dyletantów wyzwolonej. Kogoby osadziła nasza *haute bourgeoisie*, gdyby ją zechciała finansową polityką pruską u nas zastosować? Dyletantyzm, to główny wróg naszego „rdzennie swojskiego“ żywiołu; przeciw niemu najostrzejszy oręż zwrócić należy i tępić go wszędzie. Jeśli p. K. w moim artykule upatrzył dyletanckie zbywanie, rad jestem, że przeciw niemu wystąpił; nawzajem i ja nie chciałbym zrzec się pełnienia takiego obywatelskiego obowiązku.

K. Z.

WYJAŚNIENIE.

Szanowny Panie Redaktorze! Spodziewając się, że mi łaskawie udzielisz miejsca w swem piśmie, spieszę z wyjaśnieniem szeregu fałszywych szczegółów, podanych w *Gazecie Radomskiej*, a dotyczących mojej osoby.

Prawda zaznaczając moje wystąpienie z *Gazety Radomskiej*, zrobiła uwagę, że jednocześnie gazeta powyższa, zmieniając *kierownika*, zmieniła także... *zasady*. Wydawca rzeczonej gazety, w odpowiedzi *Prawdzie* na dwa wyrazy wyżej podkreślone, podał fałszywe, a nadto mnie ubliżające wyjaśnienie. Z tego powodu czuję się w potrzebie sprostowania kilku zdań p. Rewolińskiego, broniącego tytułu *redaktora*, jak gdyby mu kto chciał go wydrzeć.

Co się tyczy mnie, nie jestem lubownikiem tytułów, a więc mało dbam o to, jak będzie nazwany rodzaj mojej pracy w *Gazecie Radomskiej*, polegający na kompletnem prowadzeniu części literackiej tego pisma.

O obecnych zasadach *Gaz. Rad.* nie wiem, gdyż po ustąpieniu nie miałem sposobności jej czytać (oprócz nr. 87, przypadkiem mi dostarczonego). W ciągu zaś swojej ośmiomiesięcznej pracy czuwałem nad tem, żeby pismo nie stało się przytułkiem antisemityzmu i klerykalizmu, tudzież, żeby niesłużyło sprawom prywatnym.

Szkoda, że p. wydawca nie wie, co się działo w redakcyi podczas jego dwumiesięcznej nieobecności. P. Skrodzki, powołany do współpracownictwa, oprócz robienia wiadomości politycznych i układania anegdot: bawił się jeszcze w ustawodawstwo, tworząc przepisy dla członków redakcyi i nadając im rozmaite tytuły; przy tej sposobności siebie nazwał *wujaszkiem* gazety, a następnie *redaktorem zapasowym* *). Ale i tym razem, ja, pomimo ciężkiej choroby, czynności swoje nadal spełniałem, z tą tylko różnicą, że mi przybyło sporo pracy z powodu mozolnego poprawiania wypracowań p. Skrodzkiego. Ten zaś ostatni aż do chwili mego ustąpienia pozostawał w *zapasie*. Wreszcie kiedym opuścił redakcyę, wręczyłem p. Rewolińskiemu około 30 artykułów p. Skrodzkiego, niekwalifikujących się do druku.

Przy tej sposobności przyjm Sz. Redaktorze wyrazy szacunku i poważania.

Zenon Pietkiewicz.

---

*) Rzeczone ustawy mam dotychczas u siebie, pisane ręką p. Skrodzkiego.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Oberpolicmajster m. Warszawy wskutek odezwy inspektora szkół miejskich, polecił komisarzom cyrkułowym zająć się niezwłocznie sprawdzeniem, kto i gdzie mianowicie zajmuje się nauczycielstwem prywatnem. Nadto poleconem zostało wyjaśnić, iż rodzice i opiekunowie nie mają prawa przyjmować ani wychowawcy, ani nauczyciela, który nie posiada świadectwa od władzy naukowej.

Minister oświecenia polecił, aby na przyszłość obok uchwał zapadłych w wydziale uniwersytetu większością głosów, komunikowano zarazem władzy zdanie mniejszości członków fakultetu, przyczem wymienione być mają nazwiska głosujących.

Pensya żeńska p. Żeleszkiewiczowej w Warszawie z rozporządzenia władzy została zamknięta.

Przytułek żebraczy przy ulicy Pawiej tak jest zapełniony, że powstał projekt założenia drugiego. Przy sprawdzeniu stanu żebraków okazało się, że około 35% nie powinno domagać się miłosierdzia publicznego. Fundusz przytułku wynosi obecnie 8,000 rs.

Wystawa szkiców otwartą została w d. 24 b. m. Znaczna ilość przedmiotów z zakresu „sztuki stosowanej do przemysłu" znalazła nabywców jeszcze przed jej otwarciem, jednakże luki natychmiast zapełniono przesyłkami nowemi.

Wystawa sprzętów i odzieży w Muzeum przemysłowem została otwartą w dniu dzisiejszym.

Konkurs fortepianowy przez Towarzystwo muzyczne wyznaczony na rok 1886, został rozstrzygnięty. Z nadesłanych 44 utworów odrzucono bezwarunkowo 27. Z pozostałych oddzielono 7, noszących znamię dobrych studyów lub zdolności, ale jeszcze nieodpowiednich do nagrody; tytuły ich i motta ogłoszono dla zachęty autorów do prac dalszych. Trzy utwory: „Suitę A moll," „Waryacye Cis moll" i „Chaconne C dur" wyróżniono jako zasługujące na trzy nagrody w porządku wyżej wskazanym, lecz nieodpowiadające warunkom, gdyż autorowie nagromadzili w nich znaczne trudności techniczne, a konkurs był ogłoszony na utwory wymagające średniej techniki fortepianowej. Pierwsza nagroda pieniężna nie została przyznana żadnemu z nadesłanych utworów, drugą otrzymał „A la Gavotte," p. Pawła Romaszki, a trzecią „Krakowiak A dur" p. Leokadyi z Myszyńskich Wojciechowskiej.

Wyzyskiwanie włościan przez pokątnych doradców wywołało, jak donoszą z Petersburga, uchwałę, aby wszelkie prośby, podawane przez włościan do instytucyj rządowych, opatrzone były imieniem i nazwiskiem, wskazaniem zajęcia i miejsca zamieszkania układających i przepisujących je. Bez wypełnienia powyższego warunku prośby będą zwracane. Za fałszywe zaś podanie nazwiska i miejsca zamieszkania redagujących lub przepisujących, osoby wymienione będą pociągnięte do odpowiedzialności sądowej. O nieprawidłowej i bezprawnej działalności obrońców prywatnych i adwokatów przysięgłych instytucye włościańskie powiatowe i gubernialne winny zawiadamiać prokuratorye sądów okręgowych celem dochodzenia dyscyplinarnego.

Dla zapobieżenia podpalaniom postanowiono, aby wszelkie ubezpieczenia, nawet najmniejszych budowli, były dokonywane przez inżenierów powiatowych lub urzędników umyślnie delegowanych, nigdy zaś przez pisarzy gminnych, jak to się dotychczas praktykowało. Nadto wszystkie dawniejsze wykazy mają być przejrzane, a oszacowania wyższe nad wartość uledz obniżeniu.

Straty zrządzone przez pożary w samym tylko powiecie mławskim od początku r. b. oblicza *Kor. Płocki* na rs. 237,132.

Strzechy ogniotrwałe. Politechnicy rosyjscy, jak donosi *Kur. codz.*, wykonali szereg prób z dachami słomianymi, napojonymi gliną i otrzymali wyborne rezultaty, zarówno pod względem wytrzymałości wobec ognia, jak nieprzepuszczalności pod działaniem wody, lekkości i mocy. Za materyał służy plecionka słomiana, której przeszło po dwieście stóp dziennie mogą zrobić dwie kobiety wiejskie na zwykłych krosnach. Plecionki trzeba w roztworze gliny, oczyszczonym z piasku i tak gęstym jak dobra śmietanka, moczyć dopóty, aż glina wypełni słomę, a następnie wysuszyć.

Kara. Były zastępca nauczyciela szkoły elementarnej w Tuczępach, w powiecie stopnickim, K., za obejżdżanie włosek w charakterze urzędnika jakoby wysłanego z Petersburga w imieniu rządu spisywania dla włościan w celu nowego podziału gruntów, wyrokiem sądu okręgowego kieleckiego z d. 18 b. m. pozbawiony został wszelkich praw stanu i skazany na 8 miesięcy więzienia. Donosi o tem *Gaz. kielecka.*

Parcelacya. Bełżyce, jeden z większych majątków w lubelskiem, rozparcelowane zostały na kilkanaście kolonij rozmaitej przestrzeni.

Ofiara. P. Bogusław Wydżga, właściciel ziemski z hrubieszowskiego, zawiadomił przez *Gaz. lubelską*, że na mające powstać gimnazyum realne w Lublinie ofiaruje po groszu z morga swej posiadłości przez lat dziesięć i gotów jest ofiarę tę zabezpieczyć aktem hipotecznym.

Towarzystwo kredytowe miejskie w Płocku. Założyciele tego towarzystwa zebrali się w magistracie miejscowym i będąc zawiadomieni o zatwierdzeniu przez rząd ustawy, upoważnili p. G. Kühna do przyjmowania podań od osób, pragnących przystąpić do stowarzyszenia, oraz upoważnili pp. Chądzyńskiego, Kühna i Szuberta do zawarcia umowy, tyczącej się wygotowania listów zartawnych.

Nadużycia na poczcie. Niektórzy prenumeratorowie *Gazety świątecznej*, wnosząc pieniądze na opłatę tej gazety, otrzymywali kwity z prywatnego kwitaryusza, zamiast pocztowych i następnie oczywiście gazety nie odbierali. Jeden z poszkodowanych nadesłał kwit tej redakcyi wspomnianego pisma.

Dwie zbrodnie z jednakich pobudek zdarzyły się w Warszawie w bieżącym tygodniu. Ofiarą jednej z nich padł p. Edmund Reinstein, rządca szpitala Dzieciątka Jezus od lat 25. Zamordował go d. 22 b. m. na kotytarzu szpitalnym Stanisław Dobiesz, wydalony ze szpitala posługacz, ugodziwszy nożem kilkakrotnie. Mordercę pochwycono. Ma lat 24, jest nieżonaty. Przykład Dobiesza podziałał niezwłocznie na Włodzimierza Jabłońskiego, który będąc usunięty przez p. Borejkę z posady zarządzającego sklepem wódek przy ulicy Brackiej i nie otrzymawszy odpowiedzi na swój list z prośbą o kilka rubli na wyjazd z Warszawy, zaczaił się na rogu Kruczej i Nowogrodzkiej i do przechodzącego Borejki trzykrotnie strzelił z rewolweru. Jeden strzał zadał lekką ranę w prawą rękę, dwa inne chybiły. Jabłońskiego aresztowano.

Wypadek cholery azyatyckiej zdarzył się we Wrocławiu. Przywiózł ją z sobą górnik rodem z Węgier.

Zmarli. Ks. Piotr Semeneńko, znany generał zakonu Zmartwychwstańców, d. 18 b. m. w Paryżu. Osobisty przyjaciel Mickiewicza, Krasińskiego, Witwickiego, Zaleskiego. Ur. w r. 1814, wychowaniec uniw. wileńskiego, w r. 1837 wyjechał z ks. Hieronimem Kajsiewiczem do Rzymu i oddał się teologii. W r. 1842 obaj utworzyli w Rzymie zakon Zmartwychwstańców. Drukiem ogłosił „Biesiady filozoficzne."

— Jan Scherr, ur. 1817 r. w 1846 emigrował z Wirtemberga do Szwajcaryi. Od 1860 r. objął katedrę literatury i historyi w politechnice zurychskiej. Napisał wiele dzieł historycznych i literackich.

— Róża Jokai, żona słynnego powieściopisarza węgierskiego, Maurycego Jokaia, niegdyś aktorka.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Zofi K. Służy do określenia przesady patryotycznej, a ma pochodzić od Chauvaine'a. Scribe w jednej ze swych sztuk upostaciował tę namiętność.

P. Marj. 1) Niektórzy są nie dla nas, niektórzy przenoszą pracę naukową nad literacką; 2) należał do szkoły Epikura.

F. w Kijowie. A cóż to wszystko naszych czytelników obchodzić może?

P. R. W. Tak doniosły gazety rosyjskie, ale uwaga pańska jest słuszną, że język wykładowy ma być zmieniony w Dorpacie i Inflantach.

P. Bronisł. S. Słownik Chodźki, gramatyka Ahna lub Robertsona.

A. B. Wiersz ten jest raczej figlem Heinego niż utworem artystycznym; pomieszczać więc jego osobny przekład w *Prawdzie* — byłoby dość dziwnem, zwłaszcza że przekład ten jest bardzo ułomny.

P. Józ. Wal. Seibertza 1875.

OFIARY.

Dla Studentów. kop. 50.

Na kasę imienia Mianowskiego. W. kop. 50.

Na Szkołę rzemieślniczą przy ul. Jasnej: Jabłkowski rs. 1.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Ноября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.